PRAD

1938

VI

PRĄD

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
ŻYCIA KULTURALNEGO I SPOŁECZNEGO

TOM 35 CZERWIEC 1938 ROK 25

SPIS RZECZY:

Prenumerata roczna w kraju wynosi 12 zł., półroczna 6 zł. dla nauczycieli roczna 8 zł., dla studentów i kleryków 6 zł. Oddzielny zeszyt zł. 1.00. PKO. miesięcznik „Prąd" nr 4380.

WYDAWNICTWO ZW. POLSKIEJ INTELIGENCJI KATOLICKIEJ

LUBLIN - - - - - - - - UNIWERSYTET

O. BERNARD OD MATKI BOŻEJ
karmelita bosy
Kraków

Człowiek wiecznego dążenia.[1]

Spotykamy się nieraz z twierdzeniem, że sławny niemiecki poeta-filozof Goethe stworzył w „Fauście" genialny typ człowieka, ciągle się udoskonalającego zawsze dążącego naprzód do coraz pełniejszej dojrzałości duchowej człowieczeństwa. Miał ten typ „wiecznie dążącego człowieka" wyjść z ciasnych komnat dociekań naukowych, iść przez szeroką arenę życia, świadcząc wszystkim dobro, by wkońcu zatrzymać się nad symboliczną tamą miłości wszechludzkiej. Nie miały go usidlić ani wiedza, ani miłość zmysłowa, ani urok władzy; on zawsze miał dążyć naprzód, by przez stopniową ewolucję umrzeć dla przeszłości, a żyć dla przyszłości, narodzić się dla nowego życia, nowego działania wszechmiłości.

Na pierwszy rzut oka idea wzniosła, myśl szerokosiężna, ale jeśli przyjrzeć się jej bliżej, pozna się, że ani jest wzniosła, ani nowa. Bo czyż można nazwać dążącym do doskonałości człowieka, który poza sobą zostawia zwątpienie, trupy, skrzywdzoną niewinność? A czy nową również można nazwać myśl rzuconą z całą jasnością i dobitnością już 19 wieków temu przez Chrystusa [2] i tylekroć powtarzaną przez jego najwierniejszego ucznia św. Pawła [3]?

---

1 Artykuł ten został opracowany na marginesie głębszego studium pt. *Duchowość Brata Alberta*. Kraków 1938 (w druku).

2 Zobacz w Ewangelii: rozmowę z Nikodemem, przypowieść o ziarnku pszenicznym, nakaz dążenia do doskonałości, podobnej do tej, jaką ma sam Bóg.

3 W listach swoich św. Paweł powtarza często o pokonywaniu „starego człowieka z ciała" i poddawaniu go „nowemu człowiekowi z ducha".

Nie kto inny więc, ale Chrystus stworzył typ człowieka zawsze dążącego do doskonałości i On dał nakaz i wytyczył drogi temu dążeniu wzwyż.

I jakże wiernie idą za tym nakazem Jego uczniowie, jak wspaniałe postacie „ludzi wiecznie dążących" ku wyżynom doskonałości widzimy na horyzoncie Kościoła!

Do tych olbrzymów duchownych, bieżących drogą ku wyżynom doskonałości, należy i „najpiękniejszy "człowiek naszego pokolenia [1], „krakowski Poverello", brat Albert Chmielowski.

Jego całe życie to ciągłe dążenie. Porzucał to, co dopiero posiadł, wyzbywał się tego, co zaledwie osiągnął — ale... poza sobą nie zostawiał rozpaczy, krzywdy, skargi, lecz szept uwielbienia i głos błogosławieństwa, który po dziś dzień słychać w dziesiątkach przytulisk, przez niego założonych.

To był człowiek — w sensie Ewangelii — ciągle umierający i ciągle się rodzący, umierający dla świata i siebie, a rodzący się dla bliźnich i heroizmu świętości.

Toteż, gdy dzisiaj rzuca się wokół hasła: miłości humanitarnej, powinności naszych dla cierpiących braci, a ta miłość jednak "ogranicza się tylko do współczucia przy rogatce cierpiącej duszy naszych bliźnich" — przyjrzyjmy się postaci, wyrastającej wysoko ponad poziom współczesnych nam ludzi, dążącej ustawicznie do wszechmiłości ogarniającej największą nędzę. Nauczymy się przez to wglądnięcie wiele, a jest ono tym potrzebniejsze i aktualniejsze, że właśnie 50 lat mija od założenia albertyńskiego dzieła miłosierdzia.

*
* *

Chcąc należycie zrozumieć Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta, trzeba najpierw zwrócić uwagę na przymioty naturalne, jakimi go obdarzyła natura.

To bowiem jest właściwe podłoże, na którym jego osobista praca i łaska Boża wzniosły gmach doskonałości; to jest źródło,

---

1 Zob. książkę Nowaczyńskiego pod tytułem: *Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia*

które zasilone „wodą z wysokości" zrodziło zbawczy strumień wielkiego dzieła miłosierdzia.

Łaska bowiem nie niszczy natury, ale ją podnosi, uszlachetnia i uświęca.

Adam Chmielowski przez surową ascezę w drugim okresie swego życia, która stworzyła jego moralną wielkość, nie zniszczył siebie, nie stracił swej indywidualności, ale się właśnie *odnalazł* w swej świadomości i w całej swej wartości. Wiele cech Brata Alberta, doskonałego już i uświęconego, spotykamy w poprzednim etapie jego życia w niedorozwinięciu jak owoc w zarodku.

Jakżeż więc przedstawia się nam ta wzniosła postać „Szarego Brata" w naturalnych zasobach swego ducha?

Z listu bliskiej krewnej br. Alberta uderza nas kilka zdań: „Czytałam o obszernej Twojej działalności dla dobra nieszczęśliwych i najbiedniejszych — to wszystko, co czynisz dla ubogich nie zadziwia mię wcale, znanym mi jest bowiem twe zacne serce w stosunku do rodziny, a szczególnie do swojej matki, która nigdy bez łez nie mówiła o Tobie". To pierwsze iskierki...

„Pamiętam — pisze bratanek br. Alberta — że kiedy czasem będąc chłopcem zdradziłem się ze swoją niepraktycznością, lub wyrwałem się z jakimś niebardzo obliczalnym projektem, to starsi mówili o tym, że stryj Adam, też był bardzo „niepraktyczny", że robił różne niespodzianki.

Co mogła mówić rodzina o człowieku, który był jak żywe srebro, który szukał i szukał, który już jako dojrzały człowiek nie mógł sobie znaleźć odpowiedniej drogi? Bliżsi, a więc bracia zanadto go kochali, żeby mu wszystkiego nie wybaczać; żałowano tylko, że właśnie ten najzdolniejszy człowiek, genialny, że właśnie Adam nie odgrywa żadnej roli w pracy dla Ojczyzny, (w rzeczywistości br. Albert najlepiej służył swojej Ojczyźnie)".

Już coraz więcej blasków... „fantastyczne porywy" małego Adama przerodzą się kiedyś również w fantastyczne dzieło miłosierdzia", a jego duch niespokojny wskazywał już tę jego wła-

ściwość, którą głęboko określił Witkiewicz: „On wiecznie czegoś szukał. Wciąż dalej, wciąż głębiej. Tak już od początku” [1].

Po katastrofie 63 roku, w której stracił nogę, udał się Adam za granicę i w Gandawie skończył inżynierię. Ten zawód mu nie odpowiadał.

Czuł coraz większy pociąg do malarstwa. „Tam znajdę więcej treści” — mówił.

Toteż przy nadarzającej się sposobności zapomogi finansowej porzuca wszystko i jedzie do Monachium studiować malarstwo. Gdy rodzina wyrzuca mu, że jest dzieckiem i ryzykantem, odpowiada znamiennie: „Nie wiem czy jestem dzieckiem, ale że ze mnie ryzykant, to całkiem pewna”.

Czy nie odnajdujemy tu już przyszłego br. Alberta, szukającego istotnej treści życia i oddającego się „na przepadłe” swemu dziełu, które było właśnie ową treścią odnalezioną? Gdyby nie był „ryzykantem”, zapewne nigdy wykwintny Adam Chmielowski nie zostałby szarym bratem Albertem.

W Monachium ujawnia Adam Chmielowski wyraziście zasoby swego ducha i pozwala nam (przez to, co wiemy z jego listów i ze wspomnień kolegów) wniknąć głębiej w jego duszę.

Ogólną jego sylwetkę z tego czasu, więcej może artystyczną, choć i prawdziwą, daje nam Pia Górska: „Przyjechawszy do Monachium, Adam zwrócił na siebie powszechną uwagę. Zaczęło się... od ślizgawki. Bawarczyków oszałamiała myśl, że inwalida może przyczepiać łyżwę do protezy i ślizgać się bez żadnej obawy. Schodzili się też nad sadzawką Angielskiego Ogrodu, aby zobaczyć to dziwo. Wytrzeszczali oczy, wyścibiali głowy z futrzanych kołnierzy, wołali „Herr Je” widząc, z jaką pewnością Chmielowski rozpędza się po zamarzniętej powierzchni.

Odważny chłopiec — mówili o nim popijając w dymnych lokalach ciemno-bursztynowe piwo. Widać, że w Polsce są zuchy.

W Akademii poznano się też na Adamie. Poczciwy profesor Ausschütz i godny, kochający się w historycznym malarstwie

---

1 Pia Górska, *Szary Brat.* s. 66.

Pilotti byli ujęci jego zdolnościami. Co do naszych malarzy, to od pierwszego spotkania, odczuli w nowym przybyszu artystę. Wszyscy ulegli też wkrótce czarowi jego rozmowy, ocenili głębokość inteligencji i przyjęli go chętnie do swojego grona.

Zżyli się bardzo prędko. Włóczyli się, szalejąc wśród statecznego miasta, prowadzili „kilometrowe" rozmowy, pykając fajeczkami przy kawiarnianych stołach. Poza tym i nade wszystko malowali z pasją" [1].

Wśród tego życia z bracią malarską Adam Chmielowski był dla swego otoczenia serdeczny i miły, potrafił wokół siebie stworzyć atmosferę pogodną, pełną serdeczności.

„Byliśmy serdecznymi przyjaciółmi — świadczy o nim Wyczółkowski — jeszcze za czasów monachijskich. Kolegowaliśmy tam przecież, chociaż Chmielowski był starszy ode mnie. To był nadzwyczajny człowiek! Wielkiej ogłady towarzyskiej i wielkiego wykształcenia. Bardzo on wpłynął na Witkiewicza i właściwie większa część teorii Witkiewicza skrystalizowała się pod wpływem Chmielowskiego. Wśród kolegów Adam miał zawsze mir bardzo wielki. Leniuchów zapędzał do pracy; o ile były jakieś swary wśród młodych malarzy polskich w Monachium, to on miał taki autorytet, że wszystkich zawsze godził. To był już taki urodzony wódz i kierownik. Zdarzyła się czasem bieda, to wszyscy po radę do Adama Chmielowskiego!

Nie znaczy to jednak, że Chmielowski miał być uosobieniem uczynności i powagi. Nie! to był żywy, dowcipny, kochany i wierny towarzysz".

Przy całej swej serdeczności i bliskości współżycia z kolegami Adam Chmielowski był zawsze głęboko religijny i czysty w swym życiu. Zasady wiary świętej miał Adam od młodości głęboko zaszczepione, praktyki życia chrześcijańskiego w poszanowaniu, a chociaż pod wpływem zimnego podmuchu świata mogły się one nieco osłabić czy wyziębić, to pozostał grunt religijny, nietknięty i na nim wyrastała uczciwość i szlachetność

---

1 Pia Górska, *Szary Brat.*

niezwykła, dobroć serca, spowita cnotami. Ze wszystkich listów i młodości pisanych, czy różnych zdarzeń życiowych, widać jasno jak zacny jest ów młodzieniec, który tak poważnie i po bożemu na życie patrzy, szczerze z Bogiem się liczy i ze swym sumieniem.

Drobny epizod np. opowiedziany przez A. Hallerównę z czasów powstania styczniowego wskazuje nam jak gorącą cześć i miłość dla Matki Najświętszej miał Adam już od wczesnej młodości. Medalik Matki Bożej zawieszony na szyi zachował go od niechybnej śmierci.

Od młodości też miał wdrożony przez szlachetną matkę, szczególniejszy szacunek czy delikatność względem niewiast. Dzięki temu zachował Adam obok niewinnej naturalności w obejściu się z niewiastami także wielką zawsze delikatność i dziwnie szlachetny, miły i taktowny sposób postępowania z nimi.

Raz zapytany br. Albert, czy zawód malarski zasadniczo naraża duszę na niebezpieczeństwa, czy skażenie serca, odpowiedział z prostotą, że u ludzi czystych i przejętych swym ideałem nie wnosi malarstwo tego niebezpieczeństwa, ani zepsucia; być może, że dla niektórych, może być inaczej, lecz co do siebie nie miał żadnych trudności, bo malowanie pochłania całą istotę człowieka. „Tak się jest przejętym, czy zagubionym, by ideał piękna na płótno przelać, że wszystko inne samo przez się odpada".

Malowanie zatem obrazów nie było przeszkodą dla duszy Adama, ale też i życia jego wypełnić nie mogło. Z wnętrznych swych stanów duszy nie zwykł się Adam przed ludźmi zwierzać. Za to do Boga się uciekał i u Niego szukał światła i pociechy. Toteż życie Adama Chmielowskiego nawet wśród cyganerii malarskiej było dalekie od wszelkich ekscesów i jego charakter nie nasuwa przypuszczenia, że był on całkiem taki sam jak inni" i podobnie mógł postępować [1]. Duchowość Chmielowskiego odsłonięta nieco przed nami przez jego listy i wspomnienia kolegów zupełnie coś innego każe przypuszczać.

---

1 Zobacz A. Nowaczyński, *Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia.*

Zjawiska z dziedziny sztuki Adam oceniał zawsze na podstawie zasad religijnych i gdy widział, że dana rzecz sprzeciwia się im, śmiało występował, chociażby nawet przeciw uznanym powagom w świecie artystycznym. W tym okresie największą popularnością cieszył się Makart. Adam wobec niego umiał zachować własne stanowisko, z głębokiego poczucia prawdy i moralności chrześcijańskiej zaczerpnięte. Oto co pisze o Makarcie:

„Makart maluje prześlicznymi efektami z ogromnym smakiem, pełno w obrazach bogactwa i fantazji, zresztą diabelska rozpusta pędzla i rzeczy, les amours modernes — dzieci niby, a niby kobiety jakieś — typ stworzony przez niego. Inny obraz: „Zaraza we Florencji". Na przodzie jakaś kąpiel pełna ludzi i bogactw i roślin, jedzenia, owoców, kobiety, bachantki, w tyle jeszcze dobitniej zaraza odmalowana — we wszystkim jakiś półdiabelski urok".

Zachwyca się natomiast Boeklinem i pisze o jego obrazach, że „nie ma w nich ani odrobiny sztuk łamanych—zato jakaś bolesna poezja, co za serce chwyta; maluje zwykłe greckie rzeczy — nie wypowiada dobitnie myśli, a budzi w każdym myśl i marzenie".

W sztuce malarskiej był Adam Chmielowski marzycielem w dobrym tego słowa znaczeniu i symbolistą. Szukał po prostu coraz doskonalszego ideału piękna.

„Fantazję Chmielowskiego, z natury bardzo bogatą, pobudziły jeszcze więcej studia bardzo ścisłe wieków starożytnych. Czyta skwapliwie Teokryta, studiuje Greków więcej niż Rzymian, których uważa za naród bardzo adwokacki, praktyczny. Potężne wrazenie wywiera na niego malarstwo pompejańskie, o którym powiada, że posiada wykwintną formę dla myśli i ogromnie dużo finezji, a nie ma zupełnie brutalności, której nienawidził. Owo zagłębienie się w poetów i filozofów dawnych, Platona, Dantego, studia historii ludów starożytnych i pierwszych wieków chrześcijaństwa i biblii, a przy tym wzory sztuki greckiej i rzymskiej, uzupełnione wzorami późniejszych artystów, musiały

pozostawić wybitne piętno na jego wrażliwej duszy i na jego pracach.

W jednym z listów Chmielowskiego znajdujemy wyjaśnienie tych jego artystycznych dążności: „W świecie rzeczywistym nie jest mi zadziwiająco dobrze, więc uciekam się do michałków, króre sobie wymyślę i między nimi żyję". O świecie starożytnym pisze zawsze ze wzruszeniem, wyznając: „Świat tamten ma dla mnie wielki urok, wygląda mi na coś czarownego i pełnego sekretu".

Lecz i ten świat fantastyczny nie dawał tej treści, której szukał Adam Chmielowski, to też zwrócił się w inną stronę, ku pierwszym wiekom chrześcijaństwa i tu odkrył prawdziwe skarby: „Wszystkie moje sympatie są dla starożytności i czasy starej Grecji i Rzymu, starożytni rzeźbiarze, pompejańskie rzeczy malowane. Najciekawsze mi są pierwsze wieki po Chrystusie, a raczej chrześcijanie i cała cicha poezja ich myśli, przeniesiona do pogańskich grobów, urok też mają dla mnie wieki średnie, że to całe życie dawnych ludzi, domowe i publiczne, zawsze takie pełne i męskie... nowych czasów nie umiałbym malować i nie mam do tego gustu żadnego. W dzisiejszym świecie i mądrości nowoczesnej nie podobam sobie" [1].

Jakże głębokie refleksje budzą te słowa! Czy Chmielowski nie jest tu tym samym, który później tchnie cudownie pełne życie, młode i świeże w sztywną i zamarłą formę ludzkości XX wieku?

Po powrocie z Monachium te same idee go przejmują. Nie odstępuje od nich, choć warunki zewnętrzne nie sprzyjają.

Z sztuką swą bowiem zżył się Chmielowski głęboko, ona go przenikała i pozostała zawsze z nim. Był urodzonym artystą i ten artyzm pozostał zawsze z nim. „Widywałem często — pisze Metropolita Szeptycki — br. Alberta i bardzo się do niego zbliżyłem. Uderzał mnie w jego postaci charakter artysty — jaki mimo woli i wiedzy zachowywał już pod grubym i szarym suk-

---

1 *List do Lucjana Siemeńskiego.*

nem tercjarskiego habitu. Był zawsze artystą i miał ten rzadki nawet u artystów przymiot, miał wybitny i bardzo charakterystyczny swój styl. Styl w mówieniu, w przedstawianiu rzeczy, w krytykowaniu tego, co mu się nie podobało, w chwaleniu tego, co lubiał. Jego każdy ruch, jego śmiech miały zawsze tyle charakteru, były zawsze czymś tak odrębnym, niezwykłym, że wprost uderzały. Nic nie było w nim tego, co nazywają oryginalnością; nigdy nie był oryginałem, ale był zawsze sobą. I wszystkiemu, czego się tylko dotykał, nadawał swój charakter, był taką niepospolitą, tak niezwykłą, tak wyjątkową indywidualnością, że nie mógł nie zwracać na siebie uwagi każdego człowieka myślącego i interesującego się tym, co ludzkie".

Jednak sztuka nie zdołała nigdy pochłonąć Adama Chmieowskiego i zapanować nad nim. Kochał ją i służył jej, póki nie znalazł piękniejszego i bardziej owocnego w skutki ideału do urzeczywistnienia w życiu. Jednak i wtedy... w urzeczywistnieniu tego ideału pozostał artystą i to artystą niedoścignionym.

Zastanawiając się nad duszą Adama Chmielowskiego, dochodzimy do przekonania, że była to indywidualność pod każdym względem niepospolita. „Sam z natury wytworny, o bardzo wysokiej inteligencji, niezmiernie wrażliwy na piękno, widział je dokoła siebie i potrafił tak odczuwać jak rzadko kto inny. Natura cała była dla niego otwartą księgą, w której potrafił czytać, a piękno tej natury rozkosznie działało na niego. Stał nieraz nieporuszony i z rozrzewnieniem wpatrywał się w krajobraz i w kwiaty, które szczególniej go zachwycały. Wówczas wyobraźnia jego ożywiała te cuda natury i tworzyła niezwykłe pomysły artystyczne, e których z zapałem opowiadał. Najwięcej lubił jesień, kiedy to natura gra niezliczoną ilością barw, stąd też wiele jego obrazów szczególnie akwarel, odznacza się przepiękną harmonią kolorów. Zapatrywania jego na sztukę były jemu właściwe. Nie traktował sztuki malarskiej jako rzemiosła, lecz jako idealne piękno i środek do uszlachetnienia ducha ludzkiego.

Takie więc były zasoby duchowe Adama Chmielowskiego, takie charakterystyczne cechy jego fizjognomii duchowej. Serdeczny przyjaciel, dystyngowany o wysokim poziomie etycznym i intelektualnym człowiek z towarzystwa, pracowity i zdolny malarz, szukający czegoś coraz głębszego, marzyciel, świadczący dobro wszystkim — Adam Chmielowski — oto podłoże duchowe przyszłej wielkości br. Alberta.

* * *

Wczesną jesienią 1880 roku rozeszła się wiadomość, że Adam Chmielowski wstąpił do Zakonu Towarzystwa Jezusowego i zostaje jako nowicjusz w Starej Wsi, co wywołało u wielu jego znajomych nieopisane zdumienie. I rzeczywiście Adam Chmielowski wstąpił do Nowicjatu oo. Jezuitów w Starej Wsi 24 września 1880 roku.

Co skłoniło Adama Chmielowskiego do tego kroku?

Jedni przypisują go tajemniczemu zleceniu, które we śnie czy w wizji miał otrzymać [1].

Inni tłumaczą tę decyzję Adama naturalnymi przyczynami. Na decyzję Chmielowskiego miała wpłynąć mianowicie walka pozytywizmu z romantyzmem i zwycięstwo tego pierwszego. Pokolenie współczesne bratu Albertowi wyrosło pod najsilniejszym wpływem romantyzmu. Dzieła trzech wieszczów przeszły już w krew narodu i kształtowały już jego życie. Urabiały tych szalonych młodzieńców, którzy pod naporem rozżarzonych tęsknot do wolności, porwali się na czyn zbrojny, nie mający rozsądnie żadnych widoków powodzenia,

„Powstanie okazało się katastrofą, a straszną tragedią dla jego uczestników. I widzimy jak całe to pokolenie rozbitków wiedzione jakimś nieomylnym instynktem, obraca się przeciw temu, co było właściwie źródłem katastrofy — przeciw romantyzmowi. Ale walka to gorzka, bo walka z wrogiem, który rozsiadł się we własnej duszy i niełatwo daje się z niej wyprzeć.

Brat Albert należał do tych ludzi, którzy również wyszli z burzy powstania styczniowego, a którym szczególnie głębia i żarliwość uczuć nie pozwoliła zamknąć się bez reszty w kręgi

---

1 Ks. Lewandowski, *Brat Albert*.

pozytywistów, mimo rozczarowania do wielkich haseł romantycznych. Przerzucili oni pragnienia swych serc na plan życia mistycznego, szukając obrony przeciw nierealnym złudzeniom w katolicyzmie. Przylgnęli do religii, bo dawała im rozpęd w zaświaty, stwarzając równocześnie dla tej siły ośrodkowej ścisłe ramy dogmatu i tradycji Kościoła. Otwierała im okna na wieczne perspektywy, na najwyższe ideały, ale kazała ją wcielać w zwyczajność dnia codziennego, w trud zadań teraźniejszości" [1].

Inni wreszcie wyjaśniają wstąpienie do Zakonu Adama Chmielowskiego całkowitym porzuceniem malarstwa i decydującym przełomem, jaki miał nastąpić w jego wówczas życiu.

Jakżeż więc istotnie wytłumaczyć wstąpienie Adama do stanu duchownego? Jest ono naturalnym rozwojem tego, cośmy mówili poprzednio, jest *dalszym krokiem naprzód* malarza Adama Chmielowskiego w *szukaniu treści* sztuki i życia. Wstępując do Jezuitów, bynajmniej nie nosił się z myślą porzucenia sztuki, owszem pragnął osiągnąć jej wyższy stopień w tym, co go już dawno pociągało — w malarstwie religijnym. *Ponieważ świat mu przeszkadzał, więc zamknie się za furtą klasztorną, w skupieniu i ciszy, a modlitewnej kontemplacji będzie stwarzał ideały piękna w duszy, a potem przeniesie je na płótno.* „Maluję i będę dużo malował i lepiej" pisał z nowicjatu.

Już w Monachium struna mistycznej jego duszy zaczyna się objawiać dążnością do doskonałości chrześcijańskiej w celu stworzenia rzeczy o treści religijnej, bez której to doskonałości i głębokiej wiary, malarstwa religijnego nie uznaje. W jednym z listów do Siemieńskiego pisze: „Chcąc zrobić obraz religijny, to trzeba wierzyć ślepo, a w obrazie najnaiwniej i najszczerzej powiedzieć to, co myśli. Inaczej jest komedią. Dowód na to najlepszy, że niektórzy malarze religijni śmieją się z Perugina. Jakże ma być inaczej — kiedy tamten wierzył w Boga, a ci w kolej żelazną z telegrafem i zdaje im się, że farbą i pędzlem moż-

---

1 Morstin Górska, *Br. Albert na tle okresu walki z romantyzmem.* Przegląd Pow. Nr 4, 1935.

na Pana Boga namalować. Mnie się zdaje, że tu najwyszukańsze piękno nie pomoże, a tylko styl cośkolwiek ratuje i do pewnego stopnia zadawalnia". Zastanawiając się nad celem sztuki, zapytuje się, czy służąc sztuce, można też Bogu służyć. „Chrystus mówi, że dwom panom służyć nie można. Choć sztuka nie mamona — ale też nie Bóg, bożyszcze raczej. Ja zawsze myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo, chybaby jak Fra Angelico sztukę, talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować. Ale by trzeba jak tamten oczyścić się i uświęcić, do klasztoru wstąpić, bo na świecie to bardzo trudno o natchnienie do takich szczytnych tematów. I jak piękna to rzecz bardzo, święte obrazy! Bardzobym chciał sobie u Boga wyprosić, żeby je robić, ale ze szczerego natchnienia. A to nie każdemu dane".

Jeszcze więcej światła na ten fakt życiowy Adama rzuca nam jego serdeczny przyjaciel Wyczółkowski: „Decyzja ta zaskoczyła mnie wówczas tak, że wydała mi się nieuzasadnioną i dziwaczną. Dziś wiem, że był to ostatni akt jego przeobrażeń się i poszukiwań. Przecież od najmłodszych lat szukał Chmielowski uporczywie swej właściwej życiowej drogi. Jako chłopiec dobija się o przyjęcie go do szkoły wojskowej. Przyjmują go, ale już po roku żołnierska służba rozczarowuje go zupełnie. Przerzuca się tedy do Wyższej Szkoły Rolniczej. Ale na pierwszy zew powstania młody rolnik ucieka na pole bitwy. Tu siedemnastoletni chłopak budząc podziw odpornością i męstwem, zostaje adiutantem dowódcy. W jednej z bitew odnosi ciężką ranę i — amputują mu nogę. Nie może już dalej walczyć za ojczyznę i jedzie do Paryża i Gandawy na studia techniczne. Z dyplomem inżynierskim przybywa do Monachium i tu zaczyna — studia malarskie. Robi ogromne postępy i uchodzi za jednego z najzdolniejszych. Przepowiadają mu świetną przyszłość. I wtedy, stojący u wrót sławy artysta dochodzi znowu do wniosku, że jeszcze nie jest na swojej drodze. I wtedy rzuca sztukę i przywdziewa habit zakonny. To ostatnie już przeobrażenie się nie przyszło mu chyba łatwo. Wiem, że toczył z sobą straszną walkę. Już po powzięciu decyzji wstąpienia do klasztoru, niejako w przeddzień

zamknięcia się za furtą, przyszedł do mnie do pracowni, porwał paletę i począł malować. W kilka godzin namalował uroczą, boecklinowską boginkę leśną. Odprowadzałem go do domu. Gdy mijaliśmy gmach teatru, dowiedzieliśmy się z afiszów, że niebawem rozpocznie się przedstawienie operetki. I nagle Chmielowskiego opanowała gorąca chęć, by pójść na przedstawienie. Przez całą chwilę stał i walczył zaciekle z pokusą. Zwyciężył ją, bo nagle porwał się i uciekł do domu. A nazajutrz Adam przyszedł znów do mej pracowni. Popatrzył na swoje wczorajsze dzieło, i potem kilkoma pociągnięciami pędzla zamalował boginkę i na tej nimfie wymalował widok Rzymu".

Jakże głęboki symbol! Zamalowana światowa nimfa — to porzucona sztuka świecka; wymalowany na tym miejscu widok Rzymu — to zwrócenie się całej duchowości Chmielowskiego na tory sztuki religijnej, „poświęcenie — według jego wyrażenia — sztuki, talentu i myśli Bogu ku chwale".

Oczywiście, że wstąpienie Chmielowskiego do zakonu nie nastąpiło nagle, proces duchowy zanim dojrzał przeszedł dłuższą ewolucję. Adam zwolna doszedł do tego, do czego dążył. Szukał coraz głębszej treści w sztuce i w życiu, a splot różnych przyczyn skierowywał go coraz bliżej do celu.

Nie umarł jednak jeszcze całkowicie sobie, bo — jak zaznaczyłem — wstępując do zakonu uczynił tylko jeden krok naprzód w swym rozwoju duchowym, krok wielki i odważny, ale jeszcze nie przełomowy. W klasztorze pozostał Adam Chmielowski jeszcze nadal artystą-malarzem, pozostawał *sobą* w poczuciu swego artyzmu, który chciał rozwinąć jako malarz-zakonnik. Powtarzam jeszcze raz jego słowa pisane z nowicjatu: „Maluję i będę malował dużo i lepiej".

Teraz dopiero tu w nowicjacie *następuje prawdziwy i jedyny w życiu br. Alberta przełom.* Skutkiem głębokich rozmyślań i dłuższej modlitwy zaczęły się odsłaniać przed jego duszą nowe horyzonty. Może to były rozważania według św. Ignacego „o dwóch sztandarach", może św. Alfonsa „o wielkiej liczbie idących na potępienie", może św. Franciszka Salezego „o obowiązku ratowania bliźnich", może wreszcie św. Jana od Krzyża

„o małej liczbie dusz dochodzących do najwyższej doskonałości dla braku odwagi w porzuceniu wszystkiego“. Mniejsza o to, równie dobrze mogło być jedno czy drugie, ale rozważania te były bardzo głębokie i wywierały ogromny wpływ na Adama. Daje temu wyraz w prześlicznym liście pisanym do Chełmońskiego: „Kochany Józefie! Posyłam Ci obraz Matki Boskiej, który mam po matce — powieś go nad łóżkiem, żeby ta dobra Pani, którą przedstawia, strzegła Ciebie i twojego domu. Radzę Ci jak twój szczery brat i kolega, żebyś się ratował i po prostu, po chłopsku do spowiedzi poszedł, jak możesz najprędzej: „żebyś miał grzechy czerwone jak krew, wybieleją Ci jak śnieg — bo za nie Chrystus Pan odcierpiał na krzyżu. Nie ma tu co wiele myśleć i rozumować, bo to są Boskie i straszne tajemnice; ani nie ma z tymi rzeczami żartu i zwłoki, bo taka zabawa może kosztować miliardy lat męki. Jako ludzie cieleśni jesteśmy synami naszych rodziców, bo z ciała rodzi się ciało, ale przez chrzest rodzimy się po raz drugi nie z ciała, ale z ducha — Panu Bogu za syna — za takich nas Pan Bóg przyjmuje i jako tacy jesteśmy zapisani w niebie: Bogowieście i synami Najwyższego wy wszyscy jesteście”, z tego charakteru, nic nigdy zmazać z nas nie może. Kto to wie, ten widzi jasno, co jest piekło i rozumie doskonale jak straszną rzeczą jest grzech, przez który Bóg nas, choć synów, odrzuca — a jeślibyśmy w grzechu pomarli, to na tamtym świecie jest ta męka bez końca i rozpacz, żeśmy dobrowolnie — najwyższą naszą godność i szczęście utracili — nie chcieliśmy Bogu służyć pełniąc, co kazał — więc zamiast kochać, musimy przeklinać wiecznie.

Mój drogi Józefie — jeżeli z Panem Bogiem związek zerwałeś — zawiąż go na nowo i żyj jak prawy syn Boski, bo wielka jest godność twoja jako chrześcijanina, na niebie i na ziemi. Kto z Bogiem zerwał, zawiązał z kimś drugim — i tamtemu dał nad sobą prawo — nie ma nic trzeciego ani tu, ani tam — jest tylko Bóg, albo diabeł. Nicości nie ma po śmierci, bo dusza nieśmiertelna jest. My mamy wolę robić jak chcemy i iść na prawo albo na lewo, a czy tak trudna ta droga na prawo? Nie powiem ci — idź do zakonu — masz żonę i dziecko.

Małżeństwo to też zakon bardzo święty i ma cały szereg świętych obowiązków, wystarcza, żeby człowieka dobrej woli do nieba zaprowadzić, ale ci radzę, żebyś przykazań pilnował, a do spowiedzi szedł, jak możesz często i ile razy ci się zdaje, żeś się zawalał i na swoich nogach nie stoisz. Pan Bóg wie dobrze w jakim nikczemnym garnku dusze nosimy, dlatego dał spowiedź jak krynicę, żeby się w niej myli, bo życie brudzi każdego jak błoto; dał też ciało i krew Syna, żebyśmy tę biedną duszę karmili — nie może dusza bez tej tajemniczej strony żyć. Taki sam to pokarm dla niej, jak chleb i mleko dla ciała. Prawda jest, że to tajemnica niepojęta — ale też Pan Bóg dał coś nieznanego do serca, które poświadcza w głębi człowieka, że tak jest nie inaczej".

Adam więc *przejrzał*. W poczuciu wielkości Boga, nieskończonej wartości dusz ludzkich, z których tak wiele idzie na potępienie, w przejęciu się prawdami wiecznymi — sztuka wydała się Adamowi tak czymś niezmiernie małym, iż widział jasno, że nie może jej poświęcić życia. *Zrozumiał, że służba Bogu przez nią jest stanowczo za mała dla niego.*

W liście do Heleny Modrzejewskiej daje nam to jasno pojąć:

„Sztuka i tylko sztuka—byle jej uśmiech, albo cień uśmiechu, byle jedna róża z wianka bogini, bo z nią sława i dostatek i osobiste zadowolenie — mniejsza o resztę; gubi się w szalonej gonitwie rodzinę, moralność, ojczyznę, związek z Bogiem, gubi wszystko co dodatnie i święte — lata uciekają, organizm niszczeje, a z nim i talent tak znany — zostaje tylko rozpacz, albo idiotyzm na dnie czaszki — poza tym śmierć — ale żebyż tylko śmierć i nicość, ale i to nie, bo dusza nie umiera nigdy. Śmierć to tylko początek nowego życia, które trwa tysiąc lat w nieskończoność—życie rozpaczy i nieszczęścia. I czy ten miałby być los człowieka, co przez chrzest Synem Boga został? Boć sam Pan Bóg kupił nas za synów i wszystką krwią swoją zapłacił, że już tylko woda pociekła; nie mógł ich taniej dostać, żeby przedział między człowiekiem stworzonym i Stworzycielem zapełnić".

Poznawszy prawdę i „istotną treść życia", poszedł Chmielowski — jak zawsze — bez wahania za nią. Malarstwo już nie będzie jego celem ani środkiem jego służby Bogu. Wprawdzie przez jakiś czas będzie się mu jeszcze oddawał, ale tylko tak długo, dopóki nie pozna jasno Woli Bożej wskazującej mu jego życiowe zadanie, zresztą sztuka będzie już tylko narzędziem jego apostolstwa.

Porzucił więc Adam dla wyższych ideałów dotychczasowy swój ideał. Ileż go musiało kosztować to wyrzeczenie! Czy zdajemy sobie sprawę, jak bolesnym dla człowieka i rozdzierającym jest przekreślenienie jednym pociągnięciem idei, dla której się żyło, której się aż dotąd poświęcało wszystko? Cóż więc dziwnego, ten wysiłek mógł się odbić na zdrowiu Chmielowskiego? Nastał teraz w życiu Adama stanowczy przełom, zwrócenie się i oddanie się Bogu, tak zupełne, zwrot ku świętości tak stanowczy, jakie tylko w żywotach świętych napotykamy. Jak Szaweł nawrócony stał się Apostołem Pawłem, Ignacy z rycerza światowego wielkim sługą Bożym i świętym Zakonodawcą, zgubiony Augustyn kolumną Kościoła Bożego, przykładem świętości jaśniejący po wszystkie wieki — tak i Adam Chmielowski poświęci się odtąd „na przepadłe" Bogu. Kiedy później przyjaciele i dawni znajomi br. Alberta, widząc go tak zmienionym, pytali się zdziwieni, co się z nim stało, odpowiadał im słodko Sługa Boży „Odprawiłem rekolekcje w Starej Wsi". Proces duchowy w życiu człowieka jest najważniejszy, lecz kryje się przed naszymi oczyma. Tylko z przejawów zewnętrznych poznać można, jaki jest wzrost, rozwój, żywotność i wartość żyjątka czy rośliny. Podobnie i życie święte, heroiczne cnoty w człowieku są skutkiem i owocem potężnego działania Bożego i współpracy człowieka z łaską Bożą.

Po tych ciężkich zmaganiach zajaśniało przed duszą Adama promienne słońce szczęścia z poznania prawdziwej wartości życia, z poznania głębokich prawd wiary świętej. Ale jeszcze groziło jedno niebezpieczeństwo, by Adam Chmielowski nie pozostał nadal *sobą* nawet w dążeniu do świętości i w apostolstwie. Po tym więc *osobistym* — że tak się wyrażę — *przełomie* Adama

Chmielowskiego, przykłada Bóg swoją rękę i dokonuje *całkowitego przełomu* w jego duchowości.

Bóg dla dokonania swych dzieł chce mieć narzędzia całkowicie podatnego Jego Woli, a najmniej opierające się na sobie. Przypomnijmy sobie przypowieść Chrystusa o ziarnku pszenicznym: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli ziarnko pszeniczne zapadłszy w ziemię *nie obumrze*, samo sobie zostaje, lecz jeśli obumrze owoc wielki przynosi".

Cudowne słowa, tłumaczące nam postępowanie Boże z duszami świętych. Im do większej świętości ma się wnieść dusza i im większych dzieł chce Bóg przez nia dokonać, tym więcej musi sobie obumrzeć, w tym głębsze wejść wyniszczanie. Tak było i z Adamem Chmielowskim. Bóg chcąc uczynić z niego dodatne narzędzie do swego działania — *wyniszczył go całkowicie i zmiażdżył* dla wszystkiego, czym był *w sobie i w naturze*, by się *odrodził* do nowego, doskonalszego życia, *życia łaski i działań Bożych.* Tylko w tym świetle zrozumiemy ów dziwny stan duchowy, jaki przechodził Adam pod koniec nowicjatu w Starej Wsi, we Lwowie i w Kudryńcach. Pozory wskazywały, że dostał rozstroju nerwowego czy zamieszania umysłowego. W istocie jednak tak nie było. Zapewne, że wysiłki moralne i wstrząsające przeżycia wpłynęły w pewnej mierze na zachwianie się jego zdrowia, ale umysł miał zawsze przytomny. Wyznał to sam pod koniec swego życia. Z tego, co później br. Albert niektórym z swych najbliższych i zaufanych opowiadał o owych miesiącach cierpień, dowiadujemy się, że przechodził cierpienia ogromne, lecz z zupełną świadomością i poddaniem się Woli Bożej. „Przechodziłem okropne męki i katusze i skrupuły najstraszliwsze". Jako powód odosobnienia się od ludzi i milczenia podawał to, że trapiły go straszne skrupuły a wiemy, że w takim stanie człowiekowi trudno i słowo wymówić. Uważał się za odrzuconego od Boga, jako potępieniec, a taki nie godzien z ludźmi przestawać ani z nimi rozmawiać. Utonął w przepaściach własnej nędzy i nikczemności, rozpaczliwa ciemność zalała duszę jego i to cierpienie okropne tak przylgło do niego, że o własnych siłach, żadną miarą od tego uwolnić się nie mógł. Była to więc jakby

„noc ciemności”, o której pisze św. Jan od Krzyża, że „ogarnia duszę i sprawia jej ból nad wszelkie pojęcie, który również odczuwa ciało”. „Przez tę bolesną próbę chciał Bóg przemienić dogłębnie swego sługę, a gdy widział, że już dzieło dokonane, zesłał chwilę światła. Strugą łaski jak błyskawicą rozjaśnił ciemności duchowe Adama, a swą miłością rozdarł zaporę oddzielającą go od Niego. Przemiana zupełna dokonała się. Można więc powiedzieć, że owa ciężka próba, była w zamiarach Bożych dla przyszłego Sługi Bożego, jakby nowicjatem w służbie Boga Samego, któremu całkowicie i niepodzielnie miał się oddać, by być Jego podatnym narzędziem, które miało odtąd spełniać wszystkie Jego zamysły i życzenia. I rzeczywiście Adam po tej próbie Bożej stał się innym człowiekiem, jakby łuski z oczu spadły, a czarna zmora dławiąca ducha jego, rozwiała się. Nastała pogoda duszy, zatętniła w sercu wdzięczna i czysta miłość ku Bogu, do największych ofiar gotowa. Bóg Sam i Bóg nade wszystko, Wola Boża zawsze i wszędzie, stało się dla br. Alberta zakonem prawem, ukochaniem przez całe życie” [1].

Odrodzony przez balesne doświadczenia Adam Chmielowski zaczął wkraczać w krainę prawdziwego ideału. Jego wzrok duchowny wolny od bielma, co go przedtem przysłaniało, a teraz opadło pod wpływem bólu oczyszczającego, zaczął szukać światła dla dalszej orientacji. I wtedy w górnym świetle ducha dostrzegł, a właściwie Opatrzność ukazała mu dwie postacie, dwóch świętych, którzy decydujący wpływ wywarli na jego ukształtowanie wewnętrzne, na jego *charakter* doskonałości. Postaciami tymi byli św. Franciszek z Assyżu i św Jan od Krzyża.

Adam Chmielowski poznał już co *nie jest* celem jego, ale nie wiedział jeszcze jasno, choć przeczuwał, *co jest* tym celem. Teraz u tych dwóch niezwykłych i może najbardziej specyficznych Świętych w Kościele Bożym miał poznać wszystko, cokolwiek poznać pragnął.

I teraz Adam Chmielowski wkracza w okres najpełniejszego rozwoju duchowego. Jego dusza w rozwoju wewnętrznym nie

---

1 Ks. Lewandowski, *Brat Albert.*

zaznaje spokoju i dąży ustawicznie ku szczytom najwyższej doskonałości, jaką wskazuje mu największy mistyk w Kościele, św. Jan od Krzyża. Z tym dążeniem wewnętrznym dokonuje się równocześnie wspaniały postęp zewnętrzny w dziedzinie miłosierdzia i czynnej miłości bliźniego. Szukanie treści życia — skończone. Orientacja — pełna i nieomylna, bo wypływa z jedności wewnętrznej duszy, będącej w ścisłej przyjaźni z Bogiem. Energia duchowa niewyczerpana, bo ją zasilają zdroje miłości. „Człowiek wiecznego dążenia" nie zatrzymał się w pół drogi, choć cierpiał nie ustał jednak i przez ból natury doszedł do zwycięstwa łaski.

Na mocnym fundamencie tego przekształcenia wewnętrznego i oderwania się od wszystkich przywiązań ziemskich jakżeż potężnie rozpaliła się miłość w jego duszy! Miłość strzelająca jasnym promieniem wzwyż, miłość mocna i trwała, nie opierająca się na uczuciach, słodyczach, tkliwości, ale na wyrzeczeniu i ofierze! Miłość taka, jakiej najpiękniejszą i godną Ojca Reformowanego Karmelu definicję daje św. Jan od Krzyża, iż: „skłania się ona nie ku łatwiejszemu, ale ku trudniejszemu.

Nie ku milszemu, ale ku temu, co bardziej przykre.

Nie ku temu co cieszy, ale ku temu co zasmuca.

Nie ku temu, co daje możność spoczynku, ale ku temu, co wymaga trudu.

Nie ku bogactwu, lecz ku niedostatkowi.

Nie ku żądaniu czegoś, lecz ku pragnieniu niczego".

Im wyżej wzlatują orły, tym swobodniejszy jest ich lot, tym doskonalszy i bystrzejszy ich wzrok. To samo rzec można o człowieku.

Gdy kochamy dla siebie albo ze szczególniejszej sympatii, jaką wzbudzają w nas niektóre osoby, to przyczyna naszej miłości jest bardzo niska, uboga i ograniczona, a co za tym idzie, poruszenie serca jest także niskie, ubogie i ograniczone, wyczerpuje się i obniża. Lecz gdy człowiek wyzuje się z tych przywiązań ziemskich — rozszerza swoje serce i zapewnia mu całkowitą czystość. „Czyni bowiem wtedy dusza — mówi Doktór Karmelu — bezpośrednio miejsce pokorze oraz powszechnej miłości

bliźniego. Nie przywiązując się do nikogo, do dóbr przyrodzonych, tak jawnie zwodniczych, dusza staje się wolna i jasna, miłująca wszystkich rozumnie i duchowo, tak jak tego Bóg żąda i pragnie. Wtedy poznaje się, iż nikt nie zasługuje na miłość — jeno dla cnoty, którą posiada. Skoro zaś w taki sposób się miłuje, wtedy ta miłość jest całkowicie według woli Bożej i pełna swobody, a jeśli jest z przywiązaniem, to z większym przywiązaniem do Boga. Wówczas bowiem, im bardziej wzrasta taka miłość tym bardziej także rośnie miłość Boża; im więcej zaś Boża tym więcej i bliźniego. Ta sama bowiem jest w Bogu obydwóch podstawa i przyczyna" [1].

Jest w tych słowach wierny portret br. Alberta. Surowy w całym życiu swym, a miłujący w sercu. Zdaje się wytłumaczyć serce, a jednego tylko chce, aby je wzniósł i oczyścił, iżby więcej objąć zdołało, a równocześnie goręcej kochało.

Z takich źródeł tryskająca miłość zdolna była nie tylko jego samego ożywiać przez całe życie, ale i promieniować na innych.

Wybitna swego czasu artystka Helena Modrzejewska opisuje nam żywo, jakie wrażenie wywarł na niej br. Albert, którego przedtem blisko znała jako artystę-malarza.

„Gdy po latach po powrocie z Ameryki, bawiłam w Krakowie, spotkałam tam Chmielowskiego, odzianego w szarą, zgrzebną, mniszą opończę zwał się już „Brat Albert".

„Szlachetne, marzycielskie jego wylanie znalazło w sobie inne ujście i porwał się na urzeczywistnienie podniosłych porywów innego wielkiego marzyciela: św. Franciszka z Assyżu. Dobrowolnie skazał się na życie w nędzy, by do nędzarzów się zbliżyć i nieść im pokrzepienie i ukojenie. Lubię marzyć, że i teraz nie zaniechał swej sztuki, że odszukuje modele po brudnych zaułkach i, malując zwyrodniałe twarze, poucza nędzarzy swym zwięzłym i wesołym słowem, że to ich przeszłe życie tak się zapisało wstrętnymi rysami na ich twarzach — i jak je stamtąd

[1] *Wnijście na Górę Karmelu.* Ks. III. rez. 22.

zmazać można i nakreślić na nich piękno, zamierzone ongi przez Boga. A oni uwielbiają go niezawodnie za jego cierpliwość, słodycz, prostotę i pogodę ducha. I we mnie wzbudza ta jego postać głębokie uwielbienie".

W postaci br. Alberta uderzają nas dwa typy. Jeden z nich to młodzieniec wesoły, posiadający dużo niezaspokojonych jeszcze pragnień, naładowany projektami, do którego wszystko się uśmiecha. Przyszłość posiada dla niego mnóstwo czarownych przyrzeczeń, teraźniejszość karmi go powodzeniem, sympatią ludzi a nawet sławą. Jest bowiem malarzem, przywiązanym serdecznie do sztuki i posiadając iskrę talentu, nie potrzebuje wcale zajmować miejsca wśród wyrobników pędzla, dla których rozgłos jest marą nieuchwytną. Nawet bardzo surowi krytycy oceniają jego rzeczy pochlebnie i wróżą mu różowe horoskopy. A że aureola artysty, chociażby wybijającego się dopiero na wyżyny sztuki jest kapitałem, który obficie procentuje w stosunkach towarzyskich, więc młody malarz jest wszędzie widziany chętnie, lśniące posadzki salonów są jego gruntem powszednim i życie płynie mu jak uwertura do większej symfonii, która będzie często, bardzo często wieńczona kwiatami i grzmotem oklasków.

A teraz inny typ. Mamy przed sobą zakonnika-ascetę.

Wysoki, pięćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w habit surowego zakonu św. Franciszka. Przed tym kostiumem wzdrygnąłby się każdy... Grube, szare sukno, przepasane w biodrach zwykłym sznurem, nie bardzo przyjemnie otula ciało nawet człowieka, który miał już czas przyzwyczaić się do niego. Na nogach sandały drewniane, u boku różaniec — oto wszystko. Spojrzyjmy na twarz tego zakonnika. Mieszka na niej surowy spokój i równowaga ducha, jakiej nie doznaje żaden z sytych bankierów. W obliczu tym jest coś nieziemskiego, coś uwolnionego z więzów namiętności ludzkich, coś, co sobie drwi łagodnie z burzliwej fali interesów tego świata. Wydaje się, jakby ten człowiek myślami przebywał na brzegu wieczności, skąd wszystko, co się da ogarnąć wzrokiem i co dla nas posiada znaczenie pierwszorzędne, wydaje się tak nieskończenie drobne, nikłe i marne.

Te oba typy, tak krańcowo różne i niepodobne do siebie, to jeden człowiek. Głośny zakonnik i organizator przytułków dla nędzarzy brat Albert jest tym samym, który przed laty znany był w salonach warszawskich, jako utalentowany artysta malarz, Adam Chmielowski.

Nie często zapewne w życiu jednego człowieka spotyka się tak dziwne i gruntowne metamorfozy. Chciało by się prawie uciec do gotowej formułki, która podobne objawy klasyfikuje, jako schyłkowość i wytwór wzmożonego szamotania się duszy ludzkiej w czasach wikłających się coraz bardziej zagadnień, gdyby klasyfikacja taka nie była zbyt banalną i płytką, gdyby dzieje umysłowości nie wykazywały podobnych zjawisk w czasach dawniejszych jak nasze. Tajemne głębie ducha ludzkiego są pokładem, na którego transformację nie mógł oddziaływać tak krótki stosunkowo przeciąg czasu, jak okres człowieka kulturalnego i dlatego jest ona wysoce zajmującą dla psychologa [1].

I rzeczywiście, momenty wpływające na tę przemianę Adama Chmielowskiego w br. Alberta są nader ważne i może bardziej interesujące, niż późniejsza jego samarytańska działalność.

Usiłowano też tę zagadkę kilkakrotnie rozwiązywać i zrobiono z niej — zdaniem moim — niepotrzebnie tajemnicę nie do rozwiązania. Czyż nie wiemy, jaką siłę przemienną ma miłość? Kto kocha, dla tego wszystko jest możliwe! Więc tylko w miłości możemy zrozumieć przekształcenie eleganckiego Adama Chmielowskiego na ojca nędzarzy, szarego brata Alberta.

Jak całkowite było oddanie się br. Alberta swemu dziełu świadczy następująca scena skreślona przez Piję Górską:

„Widziałam raz w życiu, brata Alberta, będąc bardzo młodą. Posłał mnie do niego Chełmoński, gdy jechałam z moją matką do Krakowa.

Zakonnik przyjął nas w rozmównicy. Pamiętam jego potężną sylwetkę i złotą plamę ogorzałej twarzy, pamiętam też mło-

---

1 *Nasza myśl.* Zeszyt 4. 1935.

dociany uśmiech, który dziwił w tej archaicznej postaci, jak migotanie motylich skrzydeł wśród chłodu jesieni.

Był prosty i żartobliwie dobry. Pokazało się, że wiedział o nas przez Chełmońskiego, dowiadywał się też szczegółowo o „Józefa" i pytał czy ja „naprawdę" maluję, co mię trochę ubodło.

Całej rozmowy nie pamiętam, wiem tylko, że wykrztusiłam pod koniec to, co mi na sercu leżało i zawyrokowałam z powagą, iż sztuki porzucać nie wolno.

To zdanie rozśmieszyło zakonnika, ja jednak nalegałam z bezczelnym uporem młodości, odparł więc z uśmiechem pobłażliwości, a może politowania.

— Widzi pani, gdybym miał dwie dusze, to bym jedną z nich malował, ale że mam jedną, jedyną, więc musiałem wybrać to, co najważniejsze.

Ważniejsze od sztuki, nawet gdy się ma talent?

W porównaniu z tym jednym — a przez „to jedno" miał na myśli zapewne zadanie, które powierzyła mu Opatrzność — wszystko inne to małostkowe faramuszki".

Dzieło Brata Alberta rozwijało się pięknie, bo miało w sobie — *miłość*. Tą miłością młodą, gorącą, żywotną ogarniał wszystkich i wszystko.

„Powinno się być dobrym jak chleb. Powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny" — oto prześliczne słowa br. Alberta, charakteryzujące jego miłość, nie czułostkową, słodkawą, kończącą się na użalaniach i westchnieniach, ale miłość męską, żywą i mocną, zdolną każdemu przyjść z pomocą.

Ta miłość prawdziwa sprawiła, że przekonanie odnośnie do metody postępowania z ubogimi miał identyczne ze św. Franciszkiem, który nie ograniczył się do dania tylko jałmużny, aby pozbyć się natręta. Jeżeli to był tylko biedny, dając mu jałmużnę starał się wywrzeć nań taki wpływ, aby go z tej nędzy moralnej podźwignąć i doszło nawet do tego, że znanych w okolicy bandytów potrafił nawrócić, a następnie jako robotników przyjąć do swego klasztoru.

Mając sam w obfitości zasoby ducha i świętości, br. Albert udzielał z tej pełności swym dzieciom duchowym. I oto w ślad za jego śladem, w wieku dwudziestym, zakochanych w zbytkach i złocie, widywano dziwnych ludzi, jakoby żywcem przeniesionych z czasów św. Franciszka Serafickiego, którzy jak On boso, w nędznym ubraniu, przepasani powrozem, jako przechodnie i pielgrzymi przechodzili przez ten świat. Chociaż byli sami ubodzy, ogołoceni z dóbr doczesnych, to przecież ubogich po przytuliskach wspierali, żywiąc ich pracą rąk swoich lub jałmużną dla nich uzbieraną. Zdumiewali się ludzie, tak chciwi bogactw, że brat Albert tak przerobił dusze swych duchownych dzieci, iż za przykładem św. Franciszka nie chcieli przyjmować na własność: ani domów, ani ogrodów, ani pól, chociaż im je dawano, że na cudzych gruntach swe domki budowali, cudze pola pod uprawę wydzierżawiali, kapitałów dla siebie gromadzić nie chcieli, a to dlatego, że ponad bogactwa i wygody ukochali nad wszystko ubóstwo Jezusowe z Jego cierpienia, upokorzeniami i niewygodami, a mimo to, a raczej dlatego radość i wesele biły od ich oblicza i bogactwem Bożym, jakie wności ewangeliczne ubóstwo, drugich ubogacali i rozweselali.

* * *

Z tego pobieżnego zestawienia, widziny, że brat Albert to rzeczywiście „człowiek wiecznego dążenia", że ustawicznie wspinał się z heroizmem ku wyżynom doskonałości i odtwarzając swym życiem to, co podziwiamy u świętych, żyjących w czasach pierwszych chrześcijan czy w średnich wiekach.

Odnajdywano w nim rysy średniowiecznego rycerza, średniowiecznego malarza-zakonnika, taką gorącą i czystą wiarą owiane są jego religijne utwory malarskie! Spoglądało się ze zdumieniem na tego człowieka, który jakby żywcem przeniesiony z dawnych czasów, wskrzeszał w swej osobie cnoty i świętości życia i czynił to, co święci czynili pod wpływem łaski i miłości Bożej. Nie ma w tym powiedzeniu przesady, gdyż brat Albert od młodości miał pociąg i jakby wrodzone zamiłowanie do starożyt-

ności i do zamierzchłych wieków i myślą i sercem lgnął do tych czasów [1].

I oto po wielu latach ku zdumieniu współczesnych ujrzano w dawnym wytwornym Adamie Chmielowskim, a teraz pokornym bracie Albercie, urzeczywistnienie zjawiska średniowiecza ze wszystkimi jednak odcieniami i barwami polskiego typu i charakteru. Jako jasny promień przeszedł przez polską ziemię ów tak swoisty i pociągający średniowieczny mnich-asceta, o potężnej, pięknej głowie, z krótko przystrzyżoną siwą brodą, w szarym, grubym habicie, przepasany powrozem, w drewnianych sandałach, spod małej, okrągłej czapki, zrobionej z nędznego sukna, wyglądała twarz śniada, stwardniała, jakby z bronzu ulana, oczy patrzały gdzieś w dal, w inne światy, albo opuszczały się z litością i dobrocią ku nizinnym, przepaścistym nędzom ludzkim, grube, spracowane ręce bohatera-kaleki, wspierały się na kiju, stąpał ciężko, bo utykał na żelaznej nodze.

Sama postać brata Alberta mocno odbijała od szarego i pospolitego tła i życia innych ludzi. Owa zaś jego niezwykła zewnętrzność, była tylko słabym echem i odbiciem tego, czym on był w swej istocie, co staraliśmy się dostrzec w kreśleniu *jego duchowości*, w odszukiwaniu podstaw jego życia i działalności.

---

1 Ks. Lewandowski, *Brat Albert*.

KS. WALERIAN MEYSZTOWICZ
Wilno

Ustawodawstwo państwa włoskiego, dotyczące małżeństwa.

I

Niezmiernie często poruszane jest zagadnienie wzajemnego stosunku faszyzmu i katolicyzmu. Nie chciałbym brać udziału w dyskusji nad tak postawionym pytaniem. Uważam bowiem, że obydwa terminy są zbyt płynne i nieokreślone, by o ich stosunku można było mówić poważnie.

Faszyzm w ustach wielu znaczy to samo, co jakikolwiek bądź system rządów niezależny od III Międzynarodówki. W ustach innych oznacza po prostu system rządów mniej liberalnych niż ten, w którym żyją. Inni jeszcze nazywają tym słowem obecne rządy włoskie, niemieckie i portugalskie; nie trzeba mówić, jak bardzo różne są te trzy systemy i jak dowolną będzie wszelka wyabstrahowana z nich suma wspólnych cech. Ale nawet jeżeli mianem faszyzmu nazywać tylko system rządów włoskich, to i tu termin ten nie będzie jednoznaczny: systemy rządów we Włoszech niewątpliwie ulegały zmianom i „faszyzm typu roku 1926“ jest niewątpliwie różnym od „faszyzmu typu 1938”. Abstrahowanie wspólnych cech byłoby znowu dowolnością.

Nie mniej mgławicowym jest termin „katolicyzm”. Nowotwór ten, nieznany teologom bodajże aż po XIX wiek, oznacza najrozmaitsze pojęcia. Wiem, co jest wiara święta katolicka, wiem, czym jest Kościół katolicki. Obydwa te pojęcia mają pewną treść i to treść konkretną. Nie wiem, czy jest ktoś, kto by się podjął określania pojęcia „katolicyzm” i jestem prawie pewien, że amatorów na rozwiązanie tej zagadki szukać należy raczej wśród dziennikarzy i publicystów, niż wśród teologów. Obawiam się też, że najchętniej używają terminu „katolicyzm” ci,

którzy by chcieli ograniczyć Kościół do walki z rozmaitymi „izmami", jak „bolszewizm", „faszyzm", „marksizm" itp. słowa. Lubią ten termin i ci, którzy by chcieli posługiwać się katolikami bez potrzeby wyznawania wiary katolickiej i bez wierności Kościołowi. Wydaje mi się, iż człowiek wyznający wiarę katolicką i Kościołowi wierny, powinien ten termin, jako narzędzie mętu i pomniejszania wartości religijnych, po prostu zwalczać.

Dopuszczalne więc byłoby mówić o stosunku rządów włoskich do Kościoła katolickiego. Zbyt to obszerny temat. Wolę ograniczyć się do szczegółu, niezmiernie ważnego dla współżycia tych dwóch społeczności, mianowicie do sprawy obchodzącej zarówno Kościół, jak i państwo, tj. do sprawy małżeństw. Przyjmując, że zasady Kościoła katolickiego w dziedzinie małżeństwa oraz regulujące tę dziedzinę, normy prawa kanonicznego są znane, przedstawię ustawodawstwo państwa włoskiego dotyczące małżeństwa.

II

Dzieje prawa małżeńskiego na półwyspie Apenińskim są przedmiotem wielu poważnych studiów historycznych.

Aż do pierwszego wieku naszej ery prawo rzymskie znało rozmaite rodzaje związków małżeńskich, zawieranych w rozmaitych formach. Obok starożytnego typu związku małżeńskiego, zawieranego „per confareationem" z uroczystościami religijnymi, istnieje typ małżeństwa, zawartego „per coemptionem", które ma więcej cech umowy ściśle cywilnej, niż cech aktu religijnego. Mamy małżeństwa „cum manu" i „sine manu", mamy na końcu „concubinatus", który też jest rodzajem małżeństwa, tak samo, jak „contubernis" niewolników. Dziwną jest dla współczesnego człowieka ta mnogość typów związku małżeńskiego: tak przyzwyczailiśmy się do uważania małżeństwa za związek o jednym typie, za umowę o jednakowej treści.

Wszystkie typy małżeństw rzymskich mają wspólne cechy. Są to zasadniczo małżeństwa monogamiczne i istnienie jednego związku małżeńskiego pozbawia prawa do równoczesnego zawierania innego związku. Są to jednak zawsze związki rozerwalne,

czy to z woli męża w małżeństwach ludzi wolnych, czy z woli pana dla niewolników.

Epoka cesarska zaznacza się na wstępie reakcją przeciw łatwości rozwodów, niezmiernie rozmnożonych po wojnach punickich. Dekrety Augusta w tym względzie są znane. W tym samym czasie wzrasta w Rzymie ludność obca, nie latyńska. Zwiększa się napływ Żydów; przywożą oni pojęcia o małżeństwie z prawa mojżeszowego: monogamia i „list rozwodowy". Równocześnie z tym zjawia się chrześcijaństwo. Przybyli w pierwszym wieku do Rzymu ludzie, którzy na własne uszy jeszcze słyszeli słowa, przez innych z pośród nich zapisane w Ewangeliach. Ludzie, którzy pamiętali dźwięk głosu i akcent wymowy, gdy po raz pierwszy padły wyrazy: „Ktokolwiek by opuścił żonę swoją dla porubstwa, a inną by pojął — cudzołoży". Chrześcijaństwo, obok sakralnego charakteru małżeństwa (Mat. XIX, 4; Ef. V, 32; I Tes. IV, 4), z całą siłą podkreślało nie tylko zasadę monogamii, ale i niedopuszczalność rozwodów.

Specjalnie trzeba podkreślić, że niedopuszczalność rozwodów była czymś nowym i dla Rzymian i dla Żydów i dla Greków. Nie z czyjejś tradycji wzięli ją chrześcijanie, lecz z nakazu Chrystusa. Była to zasada specyficznie chrześcijańska, był to wkład, przynoszony przez Kościół Rzymowi. Kościół nie chciał burzyć żadnej z form rzymskiego małżeństwa. Od wiernych żądał, by jakiekolwiek małżeństwo zawarłszy — trwali w nim, nie uciekając się do rozwodów.

Triumf chrześcijańskiej zasady nie nastąpił od razu. Nawet wśród samych chrześcijan zasada nierozerwalności powoli tylko się zaszczepiała. I chociaż Kościół rzymski stale przy niej stoi, Synody prowincjonalne dość często zdają się ją pomijać lub zniekształcać; stan ten trwa długo, aż po średniowiecze, aż po Karola Wielkiego. Jasne jest, że i ustawodawstwo świeckie nie od razu przejmuje się tą zasadą. Corpus iuris civilis pozwala na rozwody, jeżeli nie z samej tylko woli małżonków, to w każdym razie uznaje przyczyny, przy których sądy rozwodzą małżeństwa (nie istnieje rozwód consensualis, lecz jest rozwód ex causa). Nie ułatwiają zakorzenienia się chrześcijańskiej zasady najazdy

plemion germańskich, których obyczaj również uznaje rozwody. Badacze dość jednomyślnie dochodzą do wniosku, iż zasada niedopuszczalności rozwodów została mniej więcej ogólnie przyjęta na półwyspie Apenińskim gdzieś w X wieku.

Ma się rozumieć, że zasada ta została przyjęta nie wcześniej niż ogólne uznanie sakralnego charakteru związku małżeńskiego. Można przyjąć, iż we Włoszech od X wieku istnieje ogólnie tylko jeden typ związku małżeńskiego: jest to małżeństwo katolickie, pojęte tak, jak je pojmuje Kościół rzymski, zawierane wobec Kościoła i podlegające kompetencji sądów kościelnych w wypadkach spornych.

Dzieje włoskiego średniowiecza, Odrodzenia i czasów nowych, aż po zjednoczenie królestwa upływają, pozostawiając bez zmiany pojęcia o małżeństwie. Mówiąc ściślej, w tym zakresie Kościół udoskonala i cyzeluje swoje ustawodawstwo małżeńskie. Zrąb zasadniczy zostaje ten sam. Małżeństwo jest sakramentem, małżeństwo jest nierozerwalne. Ustalają się zasady dotyczące rozwodu między małżonkami, których małżeństwo na skutek niedokonania jest niezupełne, precyzują się normy dotyczące małżeństwa niechrześcijan i jego zerwania na mocy przywileju Pawłowego, ustala się pojęcie tzw. przeszkód, to jest niezdolności do zawierania małżeństwa. Określa się dokładniej granice woli, która stanowi o powstaniu związku małżeńskiego. Sobór Trydencki ustala nieodzowną formę, bez której małżeństwo nie może być zawarte. Rozwija się zespół norm postępowania w sporach o istnienie czy nie istnienie małżeństwa. Cały ten rozwój ma miejsce wewnątrz Kościoła. Władze świeckich państw na półwyspie nie dotykają tego zagadnienia, obyczaj ludu układa się zgodnie z prawem kościelnym.

Zasługuje na podkreślenie fakt, że kiedy w okresie Odrodzenia nastąpiło skrajne rozluźnienie obyczajów, kiedy niedługo później przeszła burza Reformacji, która w całych Niemczech poderwała zasadę nierozerwalności małżeństw, ludność półwyspu zachowała nietkniętą instytucję rodziny. W epoce skrajnej rozpusty XIV i XV wieku, w epoce, którą nazwać można erą bastardów, Italia zachowuje zasadę niedopuszczalności rozwodów.

Ten u samego dna psychiki narodowej zakorzeniony obyczaj, przetrwał aż do risorgimento.

III

Ustawodawstwo królewsko-włoskie, dotyczące małżeństwa, zawarte jest w kodeksie cywilnym z 25 czerwca 1865 r., który wszedł w życie 1865 r:, a rozciągnięty został na Rzym od 27 listopada 1870 r,

Autorami kodeksu kierowała chęć zniesienia władzy świeckiej Papieża i Stolicy Apostolskiej. Formuła „wolny Kościół w w wolnym państwie" oznaczała rozdział Kościoła i państwa, i to rozdział taki, by państwo mogło we wszystkim się obejść bez Kościoła. Poza tym jednak chciano szanować tradycje. Te dwie tendencje charakteryzowały ustawodawstwo włoskie pierwszych lat istnienia królestwa.

Nawiasem warto zaznaczyć, iż mało jest ludów, tak ściśle strzegących dawnego obyczaju, jak lud włoski. Nieraz się słyszy o obrzędach religijnych, szczególniej na prowicjach, które chrześcijańską treść mieszczą w prastarych, przedchrześcijańskich formach; ze szczególną mocą strzeże lud włoski tradycji w dziedzinie życia domowego. Piszący te słowa zna fakt, który się zdarzył na jednym ze śródmiejskich podwórz Rzymu, na które wychodził dziedziniec domu polskich zakonnic. Siostry na swym dziedzińcu raz wzięły się do porąbania paru kłód drzewa. Po kilku chwilach balkony wszystkich otaczających kamienic były już pełne kobiet; te zwykle pełne delikatności wobec sióstr Włoszki, które dotąd zawsze zupełną zachowywały w stosunku do podwórza zakonnego dyskrecję, urządziły w tej chwili hałaśliwą manifestację, protestując okrzykami i gwałtownymi gestami przeciwko temu, by kobiety robiły męską robotę rąbiąc drzewo. Siostry musiały rąbania natychmiast poniechać. Patrząc na to przychodziło na myśl mimo woli pytanie, jaki to pradawny instynkt pobudził te kobiety do protestu, i jak zamierzchłych czasów musi sięgać zdobyta widać kiedyś, za czasów pamiętających może jeszcze pług Romulusa, wolność niewiasty od rąbania drzewa.

Zdawało się, że widzi się naocznie owego geniusza miejsca, strzegącego prawnych tradycji Romy.

Te nawiasowe uwagi niech będą wskazówką, jak wielką była potęga tradycji, wobec której stanęli prawodawcy nowych Włoch.

Tendencje wrogie Papiestwu, a szanujące tradycje kierowały wtedy autorami Kodeksu z 1866 r.[1] W myśl kodeksu z 1866 roku małżeństwo jest umową cywilną, bez sakralnego charakteru, zawieraną, jak każda inna, w formie ściśle cywilnej i podległa wyłącznie sądom świeckim. Kodeks nie zakazuje ceremonii kościelnych. Równocześnie z tym jednak małżeństwo jest nierozerwalne, „małżeństwa nie rozwiązuje nic, prócz śmierci" (art. 148). Nawet separacja jest utrudniona. "Prawo do żądania separacji przysługuje małżonkom tylko w określonych przez prawo wypadkach" (art. 149). Dają zatem powód do żądania separacji: cudzołóstwo, porzucenie, okrucieństwo, groźby, obelgi (art. 150), jak również kara sądowa, spadająca na drugiego małżonka (art. 151) oraz brak stałego miejsca zamieszkania męża (art. 152).

Możliwe konflikty pomiędzy skrajnie antyrozwodowym stanowiskiem włoskim, a liberalną praktyką innych państw były dość częste. Dopiero w roku 1900 21 listopada Trybunał kasacyjny w Turynie wydał wyrok (Cl. 1901, 392), który posłużył za precedens, dopuszczając uznanie rozwodów, otrzymanych przez cudzoziemców za granicą.

Częstsze jeszcze były konflikty z prawem kościelnym. Kościół nie uznawał, dość zresztą rzadkich małżeństw, zawartych jedynie przed forum cywilnym. W sprawie rozwodów natomiast była sytuacja paradoksalna; Kościół udzielał rozwodów w wy-

---

1 Nowością zupełną to nie było. Śluby cywilne wprowadziła już we Włoszech ustawa Napoleońska z 20 maja 1808 r. Upadła ona jednak wraz z Cesarstwem. W Królestwie obojga Sycylii od 16 grudnia 1815 roku istniała cywilna rejestracja ślubów kościelnych. W Piemoncie „lex Siccardi" z 9 kwietnia 1850 r. zniosła jurysdykcję kościelną w sprawach małżeńskich; Senat jednak odrzucił wówczas projekt ustawy laicyzującej małżeństwo.

padkach niedokonanych małżeństw, w wypadkach privilegium Paulinum i uznawał nieraz za niebyłe związki zawarte przez osoby do ich zawarcia niezdolne, bez właściwej woli (pod przymusem) lub z pominięciem formy trydenckiej. Państwo tych wyroków uznawać nie chciało trzymając się fikcji „quod factum est rite factum censetur" i zresztą nie uznając kompetencji Kościoła. Ludzie zatem przez Kościół uznani za wolnych wobec państwa uchodzili za poślubionych i musieli nieraz szukać uznania swej wolności okólnymi drogami zmiany obywatelstwa etc.

W okresie liberalnej monarchii, przed dojściem do władzy Mussoliniego, raz po raz w parlamencie włoskim zjawiały się projekty ustaw, zmierzające do wprowadzenia rozwodów. Z posłów, którzy wysuwali projekty reform, idące w tym kierunku, wymienić można nazwiska Minchi, Mari; ostatni większy atak na zasadzie nierozerwalności małżeństwa cywilnego włoskiego odbył się w 1902 r., a fakt ten łączy się z nazwiskami posłów Berenini i Tanardelli. Senat królestwa, będący ostoją tradycyjnych pojęć narodu, stale odrzucał te projekty. Znana jest walka jaką stale toczyli senatorowie w obronie nierozerwalności. Zasługują na podkreślenie dowcipne słowa ministra Giolitti, który broniąc istniejącego stanu rzeczy, mówił, iż we Włoszech wszyscy są zadowoleni z ustawodawstwa małżeńskiego „prócz studentów, którzy nie byli żonaci i księży, którzy żonaci nie będą". Niewątpliwie jednak istniały dwa prądy, żądające reform: prąd liberalistyczny, pragnący na wzór francuski rozluźnić węzły małżeńskie i katolicki, dążący do uzgodnienia ustaw państwowych z kościelnymi. Międzynarodowy liberalizm liczył na pewny triumf i jeszcze w roku 1901 Laurent-Bailly pisał, iż „bliską jest zapewne chwila, w której rozwód zostanie zapisany do ustaw włoskich".

Nadzieje zawiodły.

IV

Miast liberalnej ustawy przyszły ustawy Mussoliniego. Sprawy małżeńskie reguluje art. 34 konkordatu Włoch ze Stolicą

Apostolską z 11 lutego 1929 r., oraz wydana w myśl tego artykułu ustawa z 27 maja 1929 r. nr 847 [1].

Zasadniczo ustawodawstwo konkordatowe wprowadziło do prawa włoskiego dwie główne zasady: uznanie kościelnej, katolickiej formy zawarcia małżeństwa za równoważną formę obok formy cywilnej i uznanie kompetencji sądów kościelnych dla spraw o małżeństwa kościelnie zawarte.

Forma kościelna została uznana za równoznaczną w pierwszym alinea artykułu 34 Konkordatu.

„Państwo włoskie chcąc przywrócić instytucji małżeństwa, które jest podstawą rodziny, godność odpowiadającą katolickim tradycjom swojej ludności, przyznaje sakramentowi małżeństwa, normowanemu przez prawo kanoniczne, skutki cywilne". Zasada ta została szerzej rozwinięta w artykułach 5—16 ustawy z 27 maja 1929 r.

Znaczenie zasadnicze tej dyspozycji polega na tym, że ludzie, zawierający małżeństwo kościelne katolickie we Włoszech, są tym samym uznani za małżeństwo przez władzę świecką, bez potrzeby odbywania powtórnej ceremonji w urzędzie stanu cywilnego. Nie znaczy to jednak, by śluby cywilne zostały zniesione. Istnieją one nadal, władza świecka nie przeszkadza nikomu, nawet katolikom w ich zawieraniu. Że nie są one bardzo rozpowszechnione, to już skutek tradycjonalizmu włoskiego i faktu, że nie ułatwiają one w niczym ewentualnych rozwodów [2].

Ustawodawstwo konkordatowe wkłada na proboszczów, asystujących przy ślubach kościelnych, niektóre obowiązki, zmierzające do zagwarantowania cywilnej rejestracji małżeństwa. Ma-

---

1 Z licznych opracowań tego tematu zasługuje na uwagę Schiappoli *Il matrimonio.* Neapol 1932; Falco, *Il diritto della chiesa.* 1929 in. epp. „Temi Emiliana". Vassali, *Lezioni di diritto matrimoniale.* Padova 1932 i inne.

2 Minister sprawiedliwości i Wyznań złożył w Izbie 14 maja 1929 r. deklarację, stwierdzającą, iż „każdy katolik jest wolny zawrzeć małżeństwo w formie, która mu lepiej odpowiada", to jest świeckie, lub kościelne. Kongregacja Sakramentów w instrukcji z 1 czerwca 1929 r. stwierdza fakt, iż władze włoskie dopuszczają katolików do ślubów cywilnych.

ją oni obowiązek upewniania się, iż cywilne zapowiedzi w gminie zostały ogłoszone, mają dokonać po ślubie kościelnym ceremonii cywilnej, polegającej na odczytaniu nowożeńcom odnośnych ustępów kodeksu cywilnego, mają obowiązek przesłać gminie do rejestracji akt zawartego małżeństwa.

Uznanie kompetencji sądów kościelnych opiera się o artykuł 34 konkordatu alinea 4. „Sprawy, dotyczące nieważności małżeństw oraz dyspensowania małżeństw niedokonanych, są zastrzeżone właściwości sądów i urzędów kościelnych".

Wyłączność kompetencji sądów kościelnych w artykule 18 ustawy z 27 maja 1929 r. jest zwężona. Sądy i urzędy kościelne są kompetentne jedynie w sprawie małżeństw, zawartych w formie kościelnej. Natowiast sądy świeckie włoskie sądzą nadal sprawy małżeństw, zawartych cywilnie, jak również małżeństw religijnych innych wyznań oraz małżeństw przedkonkordatowych (Schiappoli 299). Można by powiedzieć, iż znajduje tu zastosowanie zasada: „gdzie ślub tam rozwód", niezgodna z kanonem 1960 Kodeksu Prawa Kanonicznego.

Tego rodzaju niezgodność chyba tylko dlatego może być tolerowana przez władze kościelne, że sądy świeckie włoskie stoją na zasadzie absolutnej nierozerwalności węzła małżeńskiego.

Wyroki sądów kościelnych i ich dyspensy otrzymują moc prawną na forum świeckim na specjalnej, ustawowo określonej drodze. Wyroki i dyspensy właściwych sądów kościelnych są przesyłane do Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej. Sygnatura przesyła je właściwym Trybunałom Apelacyjnym, które dodają do nich klauzulę wykonawczą [1]. W ten sposób ustawodawstwo świeckie włoskie salwuje zasadę wyłącznej kompetencji sądów świeckich, czy przynajmniej jej pozór.

Artykuł 34 Konkordatu tak stanowi o separacjach w ostatnim swym alinea: „Co do spraw o separację małżonków, Stolica Apostolska się zgadza, by były one sądzone przez władze sądowe świeckie".

---

1 *Le rendono esecutivi.*

Warto na koniec podkreślić raz jeszcze punkty rozbieżne obecnego ustawodawstwa małżeńskiego włoskiego z prawem kościelnym. Dopuszczalność ślubu cywilnego dla katolików jest jednym z tych punktów. „Katolik mógłby ożenić się kościelnie z jedną, a cywilnie z drugą osobą. Państwo nie zakazało cywilnych ślubów tym, którzy są poślubieni kanonicznie, tak jak Kościół nie zakazał ślubów kanonicznych tym, którzy są węzłem cywilnego małżeństwa związani" [1]. „Są niezdolności do małżeństwa kanonicznego nie uznane za przeszkodę przez państwo, jak i odwrotnie, pomimo, że państwo starało się dostosować do ustawodawstwa kościelnego" [2].

Ustawodawstwo włoskie, jak to już zostało podkreślone, poddaje w niektórych wypadkach sprawy małżeńskie katolików orzecznictwu sądów świeckich. Tu właśnie największe mogą zachodzić konflikty.

W praktyce jednak o konfliktach się nie słyszy. Zdaje się, że korekturą niedostatecznej ustawy jest dobry obyczaj, w tym wypadku, jak i w wielu innych. Być może, że właśnie ten dobry obyczaj jest powodem, dla którego Stolica Apostolska zgodziła się przyznać władzom świeckim włoskim w dziedzinie ustawodawstwa małżeńskiego tak wiele, jak dotąd w żadnym konkordacie nikomu nie przyznano.

V

Z chaosu pięciorakiego ustawodawstwa małżeńskiego polskiego spogląda się z tęsknotą na system włoski, daleki może od ideału, nieskończenie jednak bardziej harmonijny od stanu, w którym żyjemy.

Nie trzeba jednak zapominać, o ile łatwiej było Włochom uporządkować ustawodawstwo małżeńskie. Przede wszystkim było ono już jednolite w chwili zawarcia konkordatu. Jednolitą również była i jest pod względem religijnym ludność włoska (w

---

1 Schiappoli, *Il matrimonio.* s. 89.

2 Tamże.

roku 1931 — 99,6 procent katolików). Odbija to wielce od naszych licznych mniejszości religijnych, mających konstytucyjnie zagwarantowane „równouprawnienie". Trudno by było uniknąć w Polsce protestu tych mniejszości przy wprowadzaniu takiej ustawy małżeńskiej, która by w niektórych wypadkach poddawała właściwości sądów katolickich małżeństwa nie katolików, a toby nastąpić musiało przy zastosowaniu nawet tak doskonałej i niezgodnej z kanonami zasady, jak zasada „gdzie ślub, tam rozwód".

Wreszcie jednolity obyczaj włoski, stojący na straży rodziny, jest może tym faktem, którego u nas brak najbardziej się odczuwa przy wszelkich próbach układania ustaw małżeńskich.

Dowodem, jak trudno sformułować projekt uregulowania chaosu w dziedzinie ustawodawstwa małżeńskiego jest brak jakiegokolwiek istotnie katolickiego projektu, po poniechaniu niemożliwych do przyjęcia projektów Komisji Kodyfikacyjnej. Krytyka jednak projektu prof. Lisowskiego [1] wychodzi niewątpliwie poza ramy zamierzonego celu.

---

1 *Prawo małżeńskie*. Poznań 1934.

JERZY RYX
Sielec

Błędy rasizmu.

W poprzednim zeszycie „Prądu" były wydrukowane w formie tez błędne poglądy rasizmu narodowo-socjalistycznego.

Podajemy poniżej nasze uwagi do każdej z tych tez, oparte prawie wyłącznie na biologii.

I

1. Błędne i nienaukowe jest mniemanie, jakoby rasy ludzkie, nawet biorąc pod uwagę stojące najwyżej i najniżej pod względem kulturalnym, różniły się zbytnio anatomicznie i fizjologicznie, czyli w ogóle ustrojowo. Istnieją rzeczywiście pewne różnice w budowie, np. dłuższe ręce, ciemniejsze zabarwienie skóry, różnica w kształcie i oprawie oczu, w kształcie czaszki (kości policzkowe, szczęka dolna, potylica, kości skroniowe i czołowe) itp., lub fizjologiczne jak np. reagowanie na zimno i ciepło, odporność przeciwko pewnym chorobom, odczuwanie wrażeń itp., ale wszystkie te różnice sprowadza się bezwzględnie do odpowiedniego przystosowania się danego działu ludzkości do warunków życiowych, w jakich temu działowi wypadło bytować od wielu tysięcy lat. Objawił się tu dobór naturalny, na mocy którego ginęły jednostki nieodpowiednie a pozostawały takie, dla których dany klimat i w ogóle warunki ekologiczne, nie były zabójcze. Z czasem, przy łączeniu się stadeł już wytrzymałych, następowało mendlowskie kumulowanie genów jednowartościowych, wskutek czego dana cecha, odpowiednia warunkom życiowym, wzrastała i stawała się już genetycznie ustalona.

W epokach, gdy różne grupy ludzi, oddzielone były olbrzymimi i niezamieszkałymi przestrzeniami, lub kataklizmy światowe nagle oddzieliły te grupy przestrzeniami wtedy nie do przebycia (np. odcięcie Indian amerykańskich i Eskimosów od ich miejsca

pochodzenia tj. Azji), zaczął działać także i swoiście pojmowany zmysł estetyczny. W ten sposób, wskutek doboru małżeństw, zaczęły się utrwalać u niektórych ras pewne pojęcia piękna cielesnego, np.: skośne oczy, wystające policzki, płaskie nosy, mięsiste wargi, potwornie rozrośnięte kości łonowe u kobiet itp., lub przeciwnie wyniosła postać, biała skóra, szeroka klatka piersiowa regularny profil twarzy, pewna barwa włosów i oczu itp. Są to wszystko różnice rasowe, powstałe i istniejące na podstawie kumulacji i sprzężenia genów, w tych czasach, gdy ludzkość była poodosobniana na grupy samodzielne, nigdy lub rzadko się ze sobą stykające. W takich warunkach niwelacja szczegółów budowy fizycznej, jako też i objawów kultury nie mogła się odbywać, ale przeciwnie ujawniał się wzrost cech jednokierunkowy.

To wszystko, co wymieniliśmy, odnosi się do cech ludzkich, osiągniętych dzięki wpływom somatogenicznym (zewnętrznym), nietrwałym same przez się, ale utrwalającym reagowanie ustroju ludzkiego na te wpływy przez dobór naturalny i dobór płciowy, już wtedy blastogeniczny (genetyczny), zatem tworzenia się ras tejże samej gromady ludzkiej. Jednak ogólna cecha, ogólne kryterium budowy ciała człowieczego świadczy o pochodzeniu z jednego pnia ludzkiego, tj. od dwóch zygot, męskiej i żeńskiej, które przez nagły odskok (mutacja De Vriesa), stanęły na niezwykle wysokim poziomie budowy fizycznej, niż najwyżej uorganizowanego zwierzęcia. Rzecz prosta, że mowa tu wyłącznie o budowie fizycznej, ale nie o duszy, którą ta para pierwszych zygot otrzymała od Najwyższej Siły Twórczej, zwanej Bogiem.

Tym kryterium jest stosunek płodu do ciała jego matki. Cecha ta nie może być w żaden sposób kierowana, nabywana lub naśladowana, gdyż jest wrodzona. Przechodząc wszystkie główne rodzaje ssaków, począwszy od najniżej ustrojowanych, mianowicie od stekowców (montremata), poprzez torbaczy (marsupialia), dalej: zwierzęta nieparzystokopytne, świnie, wieloryby, wreszcie najwyżej uorganizowane jak np. małpy — przekonamy się, że w tym szeregu zwierząt ssących istnieje, od najniżej do najwyżej uorganizowanych bezustanne wzmacnianie bezpośredniego odżywiania się płodu krwią matki, począwszy od zupełnie nie-

zależnych, a odżywianych żółtkiem płodów w jaju się rodzących (montremata), aż do najwyższych ssaków, w których płód, przy pomocy łożyska płodowego (placenta foetalis) i łożyska macicznego (placenta uterina) jest zupełnie uzależniony od matki i z niej tylko czerpie swe soki żywotne. Ale ta łączność stoi najwyżej u człowieka. Tu oprócz wszystkich łączników pomiędzy płodem a matką, istniejących u najwyższych zwierząt, znajdują się jeszcze inne łączniki, np. trzecia błona płodowa, otaczająca płód w łonie matki i umożliwiająca jeszcze lepsze odżywianie i ochronę płodu niż u zwierząt. Ale też i poród jest u człowieka najcięższy, gdyż wszystkie te trzy błony, wraz z kosmkami pływającymi we krwi matki, odrywają się przy porodzie od ciała macierzyńskiego i tworzą we wnętrzu macicy straszną ranę, na szczęście kurczącą się i gojącą.

Otóż ta cecha charakteryzuje wszystkie rasy ludzkie na ziemi, począwszy od najbardziej kulturalnych, europejskich aż do Botokudów i najniżej stojących ras ludzkich w Australii. Cecha ta wyróżnia człowieka fizycznie bezwzględnie od jakiegokolwiek zwierzęcia. Dlatego zupełnie mylne i nienaukowe jest twierdzenie jakoby rasy ludzkie bardziej się między sobą różniły niż jakiekolwiek zwierzęta pomiędzy sobą, nie mówiąc już o różnicy pomiędzy człowiekiem a nawet najwyżej uorganizowanym zwierzęciem.

2. Siła rasy i jej czystość o tyle winna być zachowana i utrwalona, o ile w ten sposób utrwalane bywają cechy dodatnie ogólno-ludzkie. Z chwilą, gdy ujrzy się zasklepianie się tejże rasy w pewnym kółku cech, uznanych przez znacznie większy odłam społeczeństwa za wadliwy, a nawet szkodliwy, wtedy staje się widoczne, że dana rasa albo nawet tylko narodowość utrwaliła się hymozygotycznie w kierunku ujemnym czyli, że się wyrodziła lub wyradza. W takim wypadku mięszanie się ras ludzkich staje się konieczne, aby nie dochodzić do utrwalania się rasy niższej, niekiedy nawet zbrodniczej, jak kiedyś się działo przy powstawaniu klanów ludzi nawet ludożerczych. Wobec tego potępienia godne, ze stanowiska czysto naukowego, jest twierdzenie o konieczności dążenia wszelkimi środkami, godziwymi czy

niegodziwymi do utrzymania czystości krwi. Owszem, nieraz konieczne jest tworzenie heterozygotów ludzkich w celu uszlachetnienia rasy ludzkiej.

3. Ściśle, naukowo mówiąc, tylko w gametach ludzkich, w ich chromozomach, jako nosicielach genów, ale nie w krwi (sensu stricte) zawarte są wszystkie nie tylko fizyczne, ale i od nich zależne tzw. duchowe cechy człowieka, toteż rzeczą społeczeństwa, dbającego o swój postęp, jest usuwać i nie dopuszczać do kojarzeń się małżeństw o jednolitym, ujemnym charakterze. Prowadzi to do homozygotyzmu ujemnego, zatem szkodliwego, Wszelkie jednak drakońskie środki kierowania kojarzeń się małżeństw są zupełnie niewłaściwe, jako znoszące prawo jednostki do samostanowienia o sobie.

Odróżnić tu trzeba czynnik—dusza od tych cech człowieka jakie zowiemy potocznie: duchowe (charakter, uzdolnienie, pojmowanie, upodobanie itp.), gdyż te są pomiędzy ludźmi i rasami różne, ale duszę, tę cząsteczkę boską, posiada każdy człowiek taką samą, więc takie same prawa i obowiązki są na wszystkich ludzi jednakowo nałożone.

4. Tezę tę zwalczają wyżej podane wyjaśnienia.

5. Religia nie może być podporządkowana prawu rasy, gdyż te, jak wiemy, powstały wskutek różnych okoliczności życiowych. Religia chrześcijańska jako powstała przez objawienie Boże, jest nadrzędna ponad wszystko. Kto temu przeczy jest właściwie nawet nie poganinem, ale bezwyznaniowcem, lecz ponieważ takich ludzi jest mało na świecie, więc nic ich nie upoważnia do narzucania swych zapatrywań olbrzymiej masie społeczeństwa, która myśli inaczej.

6. Z powyższych pięciu punktów, już wyjaśnionych, wypływa niedwuznacznie, że pojęciu: stała rasa i jej instynkt nie można przypisywać żadnego prawa źródłowości i najwyższej miary. Jeżeli utrwalenie się pewnych cech rasy w kierunku ujemnym dla reszty społeczeństwa staje się faktem, a przy tym zagraża społeczeństwu, w takim razie uprawniona jest cała reszta społeczeństwa do obrony własnego istnienia fizycznego i moralnego prze-

ciwko utrwalającej się rasie czy narodowości zwyrodniałej, i nawet można dodać do jej regeneracji przez skrzyżowanie się z rasami o cechach ogólnie dodatnich (rozproszenie, dyspersja).

7. Najnowsze odkrycia naukowe udowodniły, że wszechświat, wraz z najodleglejszymi mgławicami, promieniowo się od pewnego matematycznego punktu środkowego rozbiegający, musiał być kiedyś, przed miliardami lat, jednocześnie i w jednym miejscu stworzony. Z tego wynika, że wszelkie przejawy życiowe nie są zjawiskami, które by się przekazywały stale i wiecznie, gdyż to rozszerzanie się wszechświata, którego szybkość daje się już astronomom i matematykom obliczyć dosyć dokładnie, pozwala na przeciwne twierdzenie, że wszelkie objawy istnienia materii i energii oraz życia miały swój początek, możliwy do matematycznego określenia. Przyjmowanie takiego pojęcia stałości zjawisk wszechświata trąci wielkim zacofaniem, tym bardziej jeżeli dziś astronomowie i matematycy natrafiają na zjawiska, przeczące stanowisku ścisłego determinizmu.

8. Przeciwnie, państwo, jako ewolucyjna forma spólnoty, wyszła od pojęcia rodziny, klanu itp., winno służyć jednostce, której swój byt zawdzięcza. Pojęcie „państwo" wynikło z tego, że jednostki uważały je za potrzebne, dlatego tylko jednostki, skupione w ciałach zbiorowych, prawodawczych, posiadają naturalne prawo stanowienia o swoich losach, zatem także o zmianach w zarządzie kraju, ograniczeniach, uprawnieniach, wspólnych wydatkach itp. Wszelkie przeciwne twierdzenia są zjawiskami wstecznymi (degresio), stwierdzającymi o wyradzaniu się (degeneratio), lub powstrzymaniu się (reservatio) rozwoju moralnego danego społeczeństwa, jako powracającego do form organizacji społecznej z czasów zamierzchłych, gdy siła brutalna, fizyczna, nieraz brała górę i tworzyła samowładztwo.

II

Niemcy mylą się stanowczo przypuszczając, że stanowią czystą rasę nordycką. Do tej rasy można by raczej zaliczyć Skandynawów, jako typowych ludzi „długogłowych" (dolichocepha-

lus), jasnowłosych i o takichże oczach. Zresztą nie jest rzeczą dowiedzioną, żeby ta rasa nordycka posiadała wszelkie zalety, a natomiast brak jej było wad i usterek. Tak samo mogłyby twierdzić o sobie ludy rasy romańskiej albo i słowiańskiej, które być może przy pewnych usterkach, a nawet wadach, posiadają wielkie zalety, których znowu przeważnie brak rasie nordyckiej. W Niemczech, jak i w społeczeństwach słowiańskich, środkowo-europejskich, typ nordycki jest przeważający, ale nie wyłączny i nie wyłącznie w Niemczech. Dość jest np. u nas, w Polsce, na wsi, zauważyć szeregi dzieci szkolnych, wkraczających w niedzielę do kościoła, aby stwierdzić przewagę włosów jasnych lub płowych, a oczów niebieskich lub siwych. Zresztą inne cechy długogłowości (typ nordyczny) stwierdził nasz antropolog, prof. dr Jan Czekanowski u przeważnej liczby polskiej szlachty i inteligencji.

W Niemczech stała domieszka krwi południowej, romańskiej, śródziemnomorskiej (czarnowłosej i czarnoocznej), rasy sarmackiej (okrągłogłowa), nie pomijając i żydowskiej (zatem nie-aryjskiej), z podkładem krwi nordyckiej dała konglomerat tak znamienny, że o tym, iżby Niemcy przedstawiali jakikolwiek typ czysty, rasowy, zwłaszcza że widoczne są tam także i domieszki krwi litewskiej oraz fińskiej (mongolskiej), nawet mowy być nie może. Cechy dzisiejszych Niemców są tylko somatogeniczne, tylko zewnętrznie ujednostajnione, i zależne bardzo od wpływów wychowania, przykładów i ćwiczeń, ale te cechy zmieniają się błyskawicznie w środowiskach innych narodów, i dlatego np. polonizacja Niemców jest tak łatwa i stwierdzona tysiącami w Polsce dawnych rodów niemieckich. To tak łatwe uleganie Niemców obcej kulturze wskazuje właśnie o nieutrwaleniu genetycznym narodu niemieckiego, toteż kierownicy narodowi niemieccy, wiedząc dobrze o tej słabej stronie tejże „rasy", usuwają, jak tylko mogą u siebie obce wpływy innych narodów.

Ale właśnie ta niejednolitość narodu niemieckiego, to wchłonięcie w siebie najróżniejszych elementów, ten istotny heterozygotyzm jest jego wielkim atutem, gdyż tylko w takim konglomeracie, ale nie w czystej, homozygotycznej rasie, mogą się wy-

tworzyć i wytwarzają coraz wyższe jednostki kulturalne. Zamknijmy raz możność tworzenia nowych kombinacyj genów nowych i najróżnorodniejszych skupisk tychże i zależnych od nich cech narodowych, a przekonamy się, że naród taki, pragnący utworzyć u siebie jakąś rasę jednolitą, zacznie się wyradzać — upadać, gdyż rozwija się tylko jednostronnie. Ta dążność hitleryzmu do opanowania niemczyzny jako rasę i niedopuszczenie do niej świeżego dopływu innej krwi, jest zapowiedzią coraz dalszego wyradzania się tego narodu, który i tak rasy jednolitej nie stworzy, gdyż dawne krzyżowanie się multilateralne zawsze wywoła tzw. mendlowanie. Ale ustalenie się homozygotyczne cech ujemnych jest zupełnie możliwe, jeżeli ujemnym będzie nastrajanie się Niemców w jednym, a przez resztę świata za ujemny uznanym, kierunku.

Zatem wniosek: dzisiejsze pojęcie rasizmu niemieckiego, nie tworząc wcale istotnej rasy w pojęciu antropologicznym (sam Hitler jest zdecydowanym, typowym południowcem, ale nie nordykiem), wywoła utrwalenie się, być może, linij ludzkich o wysokim technicznym przygotowaniu, które może być tak dobrze skierowane do celów dobrych, pożytecznych, jak i złych, a nawet zbrodniczych, ale utrwali i te pierwotne rasy dzisiejszej, niemieckiej ideologii. To może stać się właśnie zgubą narodu niemieckiego, który pomimo chwilowych powodzeń wśród innych narodów spokojnych i dających się nieraz zaskoczyć, w swym zaślepieniu, właśnie wskutek tych powodzeń, może być kiedyś momentalnie zdruzgotany.

Ale wtedy przebudzenie się Niemców z ich teorii rasizmu będzie tragiczne.

Katolicka Myśl Społeczna. Pamiętnik III Studium Katolickiego w Warszawie w dn. 5 — 10 września 1937 r. Poznań, nakładem Naczelnego Instytutu A. K. 1938. s. 460. zł. 12.50.

Ks. dr Sawicki omawia „Założenia filozoficzne katolickiej myśli społecznej", biorąc ten termin w bardzo obszernym znaczeniu. Główne założenia znajduje w nauce o człowieku, w metafizyce, w szczególności w nauce o Bogu i wreszcie w nauce o wartości.

Ks. prof. Wł. Krawczyk w referacie „Katolicka myśl społeczna na tle współczesnych doktryn społecznych" omawia zasady, istotne dla katolickiej myśli społecznej, w związku z nowymi hasłami i próbami przebudowy ustroju. Na tym tle porównawczym Autor uwydatnia treść i znamiona katolickiej nauki społecznej jako samodzielnej i pełnej syntezy.

Jeszcze bardziej konkretyzuje katolicką myśl społeczną ks. prof. St. Wyszyński w referacie „Zasięg i charakter zainteresowań katolickiej myśli społecznej". Odpowiada na pytania: co katolicka nauka społeczna obejmuje i czego Kościół na terenie społeczno-gospodarczym dokonać może. Autor precyzuje pojęcia, określa, co należy do działalności Kościoła co nie, pośrednio występując przeciw nieuzasadnionemu minimalizmowi i maksymalizmowi. Referat ten, ilustrowany przykładami, powinien usunąć wiele mętnych, a nawet błędnych sądów wśród młodych pisarzy katolickich.

Następny referat ks. prof. J. Stepy pt. „Wpływ nauki Kościoła na kształtowanie się myśli społecznej", nie zajmuje się historycznym zagadnieniem wpływu nauki Kościoła na rozwój idei społecznych w ciągu dziejów, lecz podaje syntetyczny pogląd na różne systemy społeczne, aby tym lepiej uwydatnić znaczenie dorobku katolickiej socjologii. W szczególności omawia trzy zagadnienia—wolność, sprawiedliwość i miłość.

Następne referaty, również wygłoszone na plenum, omawiają zagadnienia bardziej szczegółowe. Do nich należą: prof. H. Dembińskiego — „Jednostka a społeczeństwo", prof. I. Czumy— „Sprawiedliwość i miłość jako zasady chrześcijańskiego ustroju

społecznego", o. Stan. Wawryna—„Praca i kapitał w katolickiej nauce społecznej“, prof. L. Górskiego—„Własność prywatna, jej znaczenie i granice", ks. prof. A. Roszkowskiego—„Korporacjonizm" i ks. prof. A. Szymańskiego — „Wyzwolenie proletariatu".

Ostatnim referatem plenarnym był wykład ks. red. J. Piwowarczyka pt. „Przyszłość myśli katolicko-społecznej i warunki jej realizacji w Polsce", jeden z najlepszych na Studium.

Obok referatów plenarnych Studium podaje referaty sekcyjne.

W „sekcji przebudowy ustroju" wygłosili referaty: ks. prof. E. Kozłowski—„Współczesne próby przebudowy ustroju społecznego a postulaty katolickie", prof. Cz. Strzeszewski—„Współczesne tendencje rozwojowe gospodarstwa światowego i ich znaczenie dla realizacji nowego ustroju", mgr E. Myczka—„Swoistość struktury społecznej i ekonomicznej Polski oraz możliwości jej reformy".

W „sekcji zagadnień społecznych" przemawiali: mgr L. Całka—„Granice polityki społecznej", dyr. M. Manteuffel—„Problem polskiego stanu średniego", poseł Br. Sikorski—„Zagadnienie polskiego stanu średniego", ks. prof. A. Wóycicki—„Tendencje rozwojowe związków zawodowych w Polsce" i ks. Ferd. Machay—„Problem wsi polskiej jako zagadnienie społeczne".

Wreszcie w „sekcji wychowania społecznego" zabierali głos: prof. J. Sułkowski—„Rola wychowania społecznego w przebudowie świata", dr A. Niesiołowski—„Metody realizacji wychowania społecznego" i mgr E. Januszkiewicz — „Kształtowanie opinii i przygotowanie społeczeństwa do zrozumienia katolickiej idei społeczno-gospodarczej".

W tych referatach sekcyjnych, jak i w niektórych plenarnych, przeważał pierwiastek empiryczny, ocena istniejących stosunków w świetle zasad, projekty reform i zmian, czyli elementy, podlegające łatwo dyskusji.

Jak przeważnie bywa, dyskusja niewiele wniosła nowego, niekiedy świadczyła, że dyskutujący dawali przewagę swoim poglądom nad nauką katolicką.

Książka, ładnie wydana i niedroga, zasługuje na uważne przestudiowanie. *R.*

Ks. Prof. Dr Józef Pastuszka, *„Filozoficzne i społeczne idee A. Hitlera (Rasizm)"*. Lublin, Uniwersytet. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej. 1938. s. 91.

Ostatnia publikacja Ks. dra J. Pastuszki, profesora K. U. L. jest bardzo pożyteczna, tak pod względem polityczno-państwowym, jak i pod względem popularyzacyjno-naukowym. Jest ona pożyteczna z punktu widzenia polityczno-państwowego, gdyż ułatwia orientację w ideach kierowniczych naszego sąsiada zachodniego. Poznanie tych idei nie może nie doprowadzić myślącego czytelnika do poważnych refleksyj, na temat naszego życia narodowego i z pewnością wywoła zrozumienie konieczności bardzo intensywnej pracy organizacyjno-państwowej, zwłaszcza na odcinku obrony państwa. Praca jest również ciekawa z punktu widzenia czysto poznawczego, gdyż wprowadza w cały szereg zagadnień biologiczno-psychologicznych, dotyczących rasy, które do niedawna znane były tylko szczupłemu gronu lekarzy i biologów. We wstępie Autor daje ogólny rzut oka na rozwój rasizmu. Część I analizuje przewodnie idee rasizmu A. Hitlera, tak, jak one zostały wyłożone w jego dziele „Mein Kampf". Część II zawiera krytykę idei rasistowskich oraz wytłumaczenie dlaczego naturalistyczna ideologia i egoistyczna etyka rasizmu nie dadzą się pogodzić ze spirytualistycznym światopoglądem i altruistyczną etyką chrześcijańską. W wykładzie i krytyce dość dużo miejsca poświęcono problemowi żydowskiemu. Aktualność tematu, jasne i lekkie przedstawienie zagadnień, w połączeniu z estetycznym formatem i bardzo przystępną ceną wydawnictw Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej w Lublinie, predestynują książkę do dużej poczytności.

Czesław Martyniak

Louis Le Fur, *„Wojna hiszpańska, a prawo"*. (La guerre d'Espagne et le droit. Paris, Les éditions internationales. 1938. s. 73).

Profesor prawa międzynarodowego na uniwersytecie Paryskim ogłosił rozprawę na temat wojny hiszpańskiej. Jest to krzyk sumienia katolickiego, poparty głęboką wiedzą. Znany uczony

wykazuje jak należy zastosować ogólne zasady doktryny katolickiej i nauki prawa międzynarodowego do walk, które się toczą obecnie w Hiszpanii. W I części Autor rozpatruje rewolucję narodową w Hiszpanii, jako problem wewnętrzno-państwowy, w świetle zasad doktryny katolickiej o prawie oporu przeciw władzy. Druga część bada trudności międzynarodowe, które powstały na skutek hiszpańskiej wojny cywilnej. Książkę opartą na poważnych dokumentach i ustalonych faktach przeczyta z ciekawością każdy, kto pragnie ugruntować swój sąd o wypadkach rozgrywających się obecnie na półwyspie Iberyjskim.

Czesław Martyniak.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

Ks. Feliks Bodzianowski, **Ludzkość na rozdrożach.** Poznań 1938. Księg. Katolicka. s. 344.

O. Marian Pirożyński C. SS. P., Dr Stanisław Szczęch, **Rocznik statystyczny kościoła katolickiego w Polsce.** Rok pierwszy 1937. Lublin—Uniwersytet 1938. Tow. Wiedzy Chrześcijańskiej. s. 192.

Ks. Dr Stefan Biskupski, **Obrońca węzła w kanonicznym procesie małżeńskim.** Łódź 1937. Księg. św. Wojciecha. s. 208.

O. Bernard od Matki Bożej, **Boży kwiat co z ziemi niebios dosięgnął.** Kraków 1937. s. 32.

St. Sprusiński, Wł. Deptuła, **Podręcznik organizacyjny Oddziału K. S. M.** Warszawa 1937. Zw. Mężów Katol. s. 262.

Mikołaj Bierdiajew, **Problem komunizmu.** Warszawa 1937. Tow. „Rój". s. 201.

Ks. Jan Wiśniewski, **Diecezja Częstochowska.** Opis historyczny Kościołów i zabytków. Szkoła Rzem. w Majówce Opocz. 1936. s. 539.

Jan Piętka, **Wit Stwosz wielki artysta średniowiecza Polak-Krakowianin.** Warszawa 1936. wyd. Braci Albertynów. s. 110.

Janusz Ignaszewski, **Polski rynek żelaza w roku 1936.** Katowice 1937. „Hutnik". s. 24.

Rozdział Kredytów Państwowego Banku Rolnego na województwa i powiaty z uwzględnieniem rodzaju kredytu na dzień 1 października 1936 r. Warszawa 1936. Państwowy Bank Rolny.

Door G. Neefjes, **De Genadeleer Volgens S. Thomas en Calvijn.**

Rocznik Uniwersytetu St. Batorego w Wilnie 1937—1938. Przemówienie i sprawozdanie prof. dr Witolda Staniewicza 11.X 1937. Wilno 1937. s. 62.

Problemy dalekiego wschodu. I. Konflikt Japońsko-Chiński. Warszawa 1938. s. 15.

Janusz Ignaszewski, **Polskie Towarzystwo Statystyczne i Jego zadania w odniesieniu do gospodarki hutniczej.** Katowice 1938. s. 31.

Kalikst Morawski, **Polacy i sprawa polska w dziejach Italii w latach 1830—1866.** Rozprawy hist. Tow. Nauk. Warsz. t. XVIII zesz. 1. Warszawa 1937. s. 227.

Calisto Morawski, **Gli studi sul Risognimento in Polonia.** Torino 1934. Giovanni Chiantore. s. od 1211—1222.

Jan Frankowski, **Zadłużenie gospodarstw rolnych woj. Pomorskiego w latach 1932—1936 w świetle ankiety.** Lublin 1937. Tow. Nauk. K. U. L. tom 21. s. 154.

Jules Closon, **Godefroid Kurth** (1847—1916). Gembloux 1936. J. Duculot. s. 302.

M. M. Labaurdette, O. P., **La Foi Théologale et la connaissance mystique d'aprés Saint de la Croix**. Roma 1936. Revue Tomistique école de théologie St. Maximin. s. 116.

J. Arthur Ryan, C. SS. R., **Two Essays on American Critical Re alism**. Odb. z Revue de l'Université d'Ottawa vol. VI, 1936.

Henryk Glass, **Wpływ Kominternu wśród nauczycieli**. Warszawa 1937. Centr. Biuro porozumienia antykomunist. s. 20.

Kalikst Morawski, **Gioberti**. Myśli i działania polityczne. Warszawa 1836. Warsz. Tow. Nauk. s. 358.

Historia. Organ Młodych historyków. Nr 4. Rok IV. Kraków 1937. s. 78.

Juwilcynyj Almanach Ukraińskich Katolickich Bogosłowiw Peremiskoii eparchii. Przemyśl 1937. Semin. grecko-kat. s. 268.

Pamiętnik II. Katolickiego Studium o wychowaniu. Katolicka myśl wychowawcza. Poznań 1936. s. 536.

J. Antocolensis, **Rekolekcje radości**. Wilno 1937. Wyd. „Dobra praca" Wilno. s. 25.

Mgr. Janina Sobkowiakówna, **Poradnik prawny dla katolickich Stowarzyszeń kobiet i ich oddziałów**. Poznań 1937. Bibl. Katol. Zw. Kobiet. s. 58.

Chrystus i dzieci nasze. Katol. Zw. Kobiet. Poznań 1937. s. 27.

Sprawozdanie Okręgu Lubelskiego Ligi Morskiej i Kolonialnej w Lublinie za rok 1936. Lublin 1937. s. 138.

Dr P. Hieronymus A. Fellette O. M. Cap., **S. Laurentii a Brundurio Zelus Apostolicus ac scentia**. Wenecja 1937. Typogr. 5 Marci. s. 309.

Ks. biskup Stanisław Adamski, **Zadania Akcji Katolickiej Młodzieży**. Poznań 1938. Sp. Akc. „Ostoja". s. 30.

Maria Dymowska, **Skarbiec Polski, wyjątki z literatury dla użytku scenicznego**. Poznań 1937. „Ostoja". s. 259.

Ks. dr Kazimierz Kowalski, **Teorie o pięknie i sztuce w tomizmie i neotomizmie**. Poznań 1936. Nacz. Inst. Akcji Katol. s. 63.

Ks. *Józef Księżopolski*, **Ideał kleryka według Papieża Piusa XI**. Janów Podlasski 1937. s. 40.

K. J., **Pius XI wódz i sternik świata** Poznań 1938. „Ostoja". s. 99.

REDAKTOR I WYDAWCA
X. Dr A. Szymański

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY
A. Florkiewicz

Druk. „Narodowa" L. Milarskiego — Lublin, Krak.-Przedm. 78, telef. 26-73.